

ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Katowice, 26 stycznia 1947 roku * Rok 2



Profesor dr Eugeniusz Rybka,
dyrektor Obserwatorium

Roman Aftanazy

OBSERWATORIUM ASTRONOMICZNE WE WROCŁAWIU



Główny budynek Obserwatorium z kopułą refraktora

Rzadko który zakład naukowy ma tak piękne położenie, jakie posiada Wrocławskie Obserwatorium Astronomiczne. Znajduje się ono bowiem u skraju olbrzymiego i mimo niesłychanego spuszczenia, jakie dokonało tu obłożenie miasta — prześlicznego parku. Przez włączenie zaś już w czasach polskich dalszego obszaru, stanowiącego niegdyś teren ogródków działkowych pod zarząd Uniwersytetu i Politechniki, — przestrzeń niezabudowana i słoneczna powiększyła się wybitnie także i z drugiej strony. Już więc z zewnątrz widać, jak idealne warunki pracy mają ludzie „obcujący z gwiazdami”.

Tak się dziwnie i szczęśliwie złożyło, że chociaż dookoła padały bomby i rozrywały się pociski, sam gmach Obserwatorium, mający zresztą charakter wesołej willi z rozległymi tarasami, pozostał niekniety. Uległ on wprawdzie pewnemu wstrząsowi, co w nieznacznej mierze odbiło się na funkcjonowaniu aparatury — poważniejszych szkód jednak nie doznał.

W chwili obecnej Wrocławskie Obserwatorium Astronomiczne jest największym i jedynym tego rodzaju zakładem naukowym w Polsce. Dwa inne, mianowicie krakowskie i poznańskie są przestarzałe, — warszawskie zostało spalone. Dyrektor Obserwatorium, prof. dr Eugeniusz Rybka, jest kontynuatorem tradycji lwowskich, następcą zna-

nego uczonego świetlanej pamięci prof. Marcina Ernsta.

Obserwatorium Astronomiczne we Wrocławiu zostało założone w 1790 r., jest więc najstarszym w kraju. Ale obserwacje naukowe wykonywane tu były już w latach 1702—1715 przez profesora matematyki świeżo założonego Uniwersytetu, Krzysztofa Heinricha który m. in. wyznaczył współrzędne geograficzne Wrocławia. Astronomia posiada więc już w naszym mieście blisko 250-letnią tradycję.

Budowę obserwatorium astronomicznego postanowiono w 1788 r. a zadanie to powierzono młodemu, 24-letniemu profesorowi Jungnitzowi. Wyjechał on na dwuletnie studia astronomiczne do Wiednia, skąd powróciwszy w 1790 r. — zajął się organizacją nowozałożonego obserwatorium.

Początkowo obserwatorium wrocławskie mieściło się na „wieży matematycznej” głównego budynku Uniwersytetu, lecz już wówczas miejsce to uważane było za nieodpowiednie. Wieżę więc przebudowano i dostosowano do potrzeb astronomicznych. W 1817 r. Obserwatorium Wrocławskie uzyskało instrument przejściowy z Królewca do obserwacji czasu i położenia gwiazd, co umożliwiło rozpoczęcie badań astrometrycznych.

Dużego rozgłosu i znaczenia w międzynarodowych kołach astronomicznych

obserwatorium nabrało pod energicznym kierownictwem Polaka, prof. Bogusławskiego, który był dyrektorem Obserwatorium Wrocławskiego od 1831 do 1851 r. W 1835 r. odkrył on nową kometa, skonstruował nowy mikrometr i otoczył się zdolnymi współpracownikami, wśród których jako asystenci pracowali także jego dwaj synowie.

Następcą Bogusławskiego na katedrze astronomii był Galle, słynny odkrywca planety Neptuna, którą zaobserwował w Berlinie w 1846 r. według wskazówek francuskiego astronoma Leverriera. Wśród jego asystentów z lat 1851—1897 spotykamy Polaków: Machnikowskiego, Rostalskiego, Buszczyńskiego.

W pierwszych latach XX wieku pawilony obserwacyjne zostały przeniesione na wyspę na Odrze obok śluzy. Zakupiono wtedy 203 mm refraktor z pierwszorzędnym obiektywem amerykańskim Clarke'a oraz dwa duże, nowoczesne instrumenty południkowe, instrument przejściowy i koło wierzchołkowe. Jednakże wyspa na Odrze, położona prawie w środku miasta, nie dawała zakładowi możliwości dalszego rozwoju. Toteż natychmiast po pierwszej wojnie światowej w 1920 r. przeniesiono Obserwatorium na teren parku Szczytnickiego, na jakim się dziś znajduje. Budowę pawilonów oraz przenoszenie instrumentów ukończono ostatecznie w r. 1930.

Obok więc głównego budynku obecnego Wrocławskiego Obserwatorium Astronomicznego — stoi jeszcze opodal „pawilon południkowy” z instrumentem przejściowym i kołem wierzchołkowym, służącym do wyznaczania czasu, oraz pawilon, mieszczący zakład ślusarski.

Obserwatorium posiada własną salę wykładową, w której, na galerię, obiegającej ją dookoła rozmieszczone są muzealia z zakresu nauki astronomii, stare zegary, księgi, dyplomy.

Jakkolwiek Obserwatorium mało ucierpiało od działań wojennych — to jednak nie obeszło się i bez pewnych szkód. Na szczęście ocalały w całości i są zdadne do użytku główne instrumenty, jak refraktor 203 mm i trzy południkowe instrumenty, służące, jak już wspominałem — do wyznaczania czasu i położenia gwiazd, zachowały się nieuszkodzone także dwa cenne instrumenty astrofizyczne, jak duży mikrofotometr Zeissa, służący do badań widm gwiazdowych, oraz komparator błyskowy, służący do wyszukiwania gwiazd zmiennych. Z instrumentów przedwojennych, które pozostały w Obserwatorium, należy jeszcze wymienić precyzyjne elektryczne zegary wahadłowe, jakie pomyślnie przetrwały wojnę i chodzą zupełnie dobrze. Dzięki swemu instrumentalnemu wyposażeniu Obserwatorium Wrocławskie jest w zupełności przygotowane do fundamentalnych obserwacji z zakresu astronomii pozycyjnej i prowadzenia służby czasu w oparciu o własne obserwacje.

Dotkliwą stratą dla Obserwatorium jest zaginięcie obiektywu fotograficznego o średnicy 180 mm oraz pryzmatu obiektywowego, wskutek czego ważne obserwacje fotograficzne i spektralne są na razie niemożliwe. Zdekompletowany częściowo został także syderostat, który był przeznaczony dla filii w Windhuk, lecz braki te dadzą się uzupełnić. Obserwatorium straciło również chronometry i maszyny do liczenia, co także wpływa hamująco na bieg pracy.

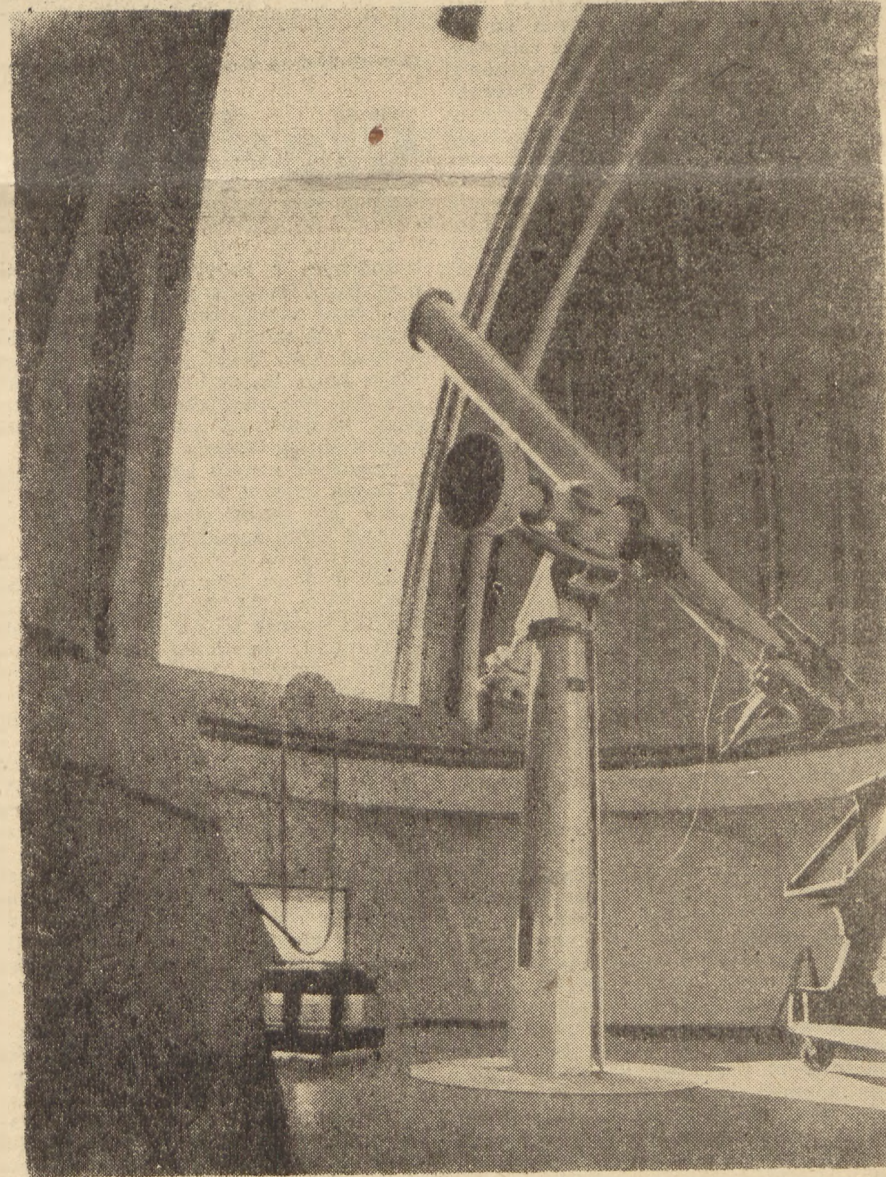
W r. 1932 Obserwatorium Wrocławskie uzyskało filię w sąsiedztwie Wińca w Białym, wólowym w miejscowości Białków, d. Bełkawe. Filia była bardzo dobrze urządzona, posiadała trzy pawilony obserwacyjne z dobrymi instrumentami, a wśród nich refraktor z obiektywem o średnicy 25 cm, większy niż we Wrocławiu.

W r. 1934 została założona filia Obserwatorium Wrocławskiego, ale tym razem aż w południowo-zachodniej Afryce w miejscowości Windhuk. Czynniki są intensywne starania w kierunku odzyskania tej placówki dla Wrocławskiego Uniwersytetu, jakkolwiek sprawa ze względu na swój międzynarodowy charakter nie jest łatwa do przeprowadzenia.

W 1945 r. Wrocławskie Obserwatorium Astronomiczne zostało zajęte początkowo przez Czerwoną Armię, która we wrześniu tego roku przekazała je

komitee pozbawione optyki. Pozostały jednak mechaniczne części, stan budynków też jest dobry, jest więc nadzieja, że braki da się uzupełnić i doprowadzić tę placówkę do należytego porządku. Obserwatorium w Białkowie oddało niegdyś duże usługi przy obserwacjach fotometrycznych.

Wojewódzki Urząd Ziemski przydzielił Uniwersytetowi cały majątek ziemski Białków o pow. 100 ha, jako zabezpieczenie terytorialne tej placówki naukowej. Majątek objęty został w stanie kompletnej dewastacji. Skromnymi środ-



Pawilon południkowy z instrumentem przejściowym i kołem wierzchołkowym, które służą do wyznaczania czasu

Uniwersytetowi. W ciągu września — pierwszymi pracami organizacyjnymi, związanymi z przejęciem Obserwatorium przez władze polskie, zajmował się dr. K. Kordylewski, adiunkt Obserwatorium Astronomicznego U. J. W październiku 1945 r. przybył do Wrocławia ze Lwowa prof. dr. Eugeniusz Rybka i objął kierownictwo obserwatorium Uniwersytetu Wrocławskiego.

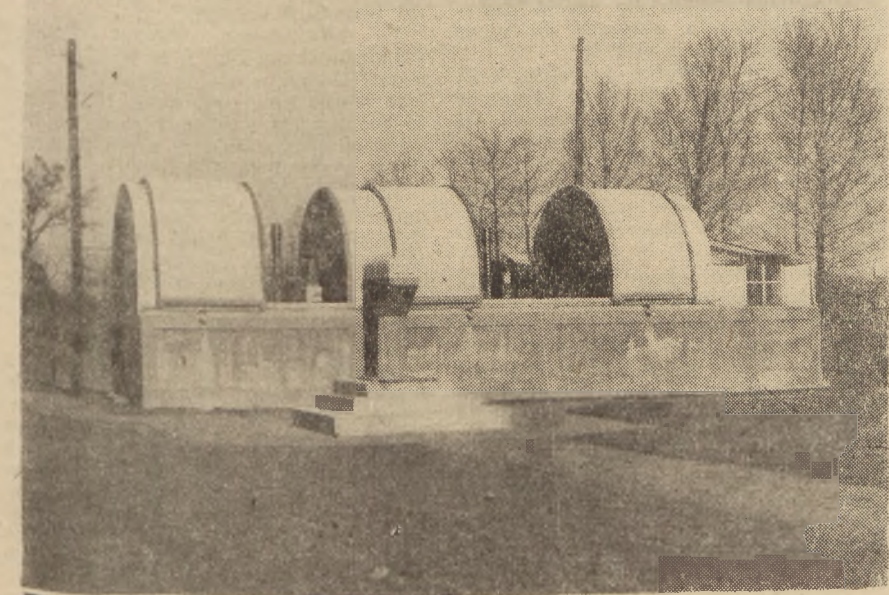
Rozpoczęto pracę przy dostosowaniu instrumentów do obserwacji i naprawie uszkodzonych budynków. Trzeba było usunąć drobne uszkodzenia w instrumentach, poprzeciąć nitki pajęczne w mikrometrach, naprawić i uruchomić zegary wahadłowe, uporządkować całkowicie rozrzuconą bibliotekę, złożoną z 9.000 tomów itd. Należało również zająć się filią w Białkowie.

Filia owa ucierpiała znacznie więcej niż główne obserwatorium, gdyż wskutek rabunków, instrumenty zostały cał-

kami, przy niewielkiej pożyczce Banku Rolnego uruchomiono już jednak gospodarkę rolno-hodowlaną.

Do lata 1946 r. zasadnicza praca przy naprawie uszkodzeń w budynkach i uzupełnianiu braków została zakończona i można było rozpocząć systematyczne prace obserwacyjne. Na razie prace takie są wykonywane dużym instrumentem przejściowym (Dr. A. Opolski) i głównym refraktorem (prof. E. Rybka). Obserwacje z instrumentem przejściowym wiążą się z zagadnieniem aberracji światła, zaś refraktorem prof. Rybka obserwuje gwiazdy podwójne oraz zakrycie gwiazd przez księżyc. W grudniu 1946 r. Obserwatorium sprowadziło chronometr ze Szwajcarii, co znacznie ułatwia pracę obserwacyjną.

Obserwatorium nawiązało kontakt z przeszło dwustu zagranicznymi obserwatoriami, skąd zaczynają już napływać (Ciąg dalszy na stronie 3)



Wnętrze kopuły głównego budynku Obserwatorium

Marek St. Korowicz

Na drodze do zabezpieczenia pokoju

II.

OD LIGI NARODÓW DO NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Nie ma już chyba wielu naiwnych, którzy by wierzyli, że przepisy prawa są w stanie, same przez się, zorganizować pokój społeczny międzynarodowy i zapewnić światu pokój. Teoria prawa międzynarodowego wskazuje drogę, względnie wskazywać powinna, po jakich państwa iść mają w prawnym regulowaniu swych wzajemnych stosunków, zgodnie z rzeczywistymi wymogami współżycia międzynarodowego. Proponowania rozwiązań abstrakcyjnych, idealistycznych, z tendencjami życia niezgodnych, nie może być jej zadaniem, przeciwnie, zbiegając każdy problem aż do jego podstaw, zestawiając przyjęte przez siebie za słuszne idee z życiem, ostrzegać winna prawodawców przed stwarzaniem norm, które życie odrzucić musi.

Prawo międzynarodowe publiczne liczyć się winno organicznie z problemami politycznymi i ekonomicznymi, dzielącymi lub łączącymi państwa, które wzajemne stosunki ma regulować. Gdy temu kapitalnemu warunkowi nie czyni ono zadość, staje się fikcją, przyjętą jako prawo do czasu, gdy jako niewygodna lub dostatecznie skompromitowana, zostanie zdemaskowana i odrzucona. Nic piękniejszego i łatwiejszego, jak ułożyć tekst traktatu o współżyciu państw w miłości i zgodzie, współpracujących ze sobą harmonijnie, a nieuniknione, mimo wszystko, nieporozumienia i spory, oddających pod orzecznictwo odpowiednich sądów i innych instancji międzynarodowych, których wyroki są definitywne i bezwzględnie obowiązujące. Łatwo przecież, na zasadzie przyjętych przez siebie idei dobra i pożytku, zła i szkodliwości, ułożyć projekt urzędzenia raju na ziemi, do którego realizacji potrzebne są wszelkie tylko dwie tak „drobne” rzeczy: rozum i dobra wola. Niestety homo sapiens, homo oeconomicus i homo passionis nie umieją znaleźć i utrwalic wspólnego języka.

Wydawało by się, że niezwykle rozstój środków komunikacyjnych od stu lat, łączących ze sobą państwa i narody, szybko wpłynęło na duchową, później na faktyczną i prawną internacjonalizację świata. Była to przecież wielka idea Saint-Simonistów, jakże słuszna w swych... teoretycznych założeniach. Wraz z wybitnym rozwojem prawa międzynarodowego po pierwszej wojnie światowej i narodzeniem Ligi Narodów idea internacjonalizacji winna była, zdaniem wielu pacyfistycznych autorów, wcielać się stopniowo w życie przez ogólne uznanie bezwzględnego prymatu prawa międzynarodowego nad wewnętrznym, przez stopniowe ograniczanie suwerenności państw na rzecz Ligi Narodów, przez stopniową eliminację uczuć nacjonalistycznych na rzecz idei międzynarodowej wspólnoty ludzi i ich kultury materialnej i duchowej. Rozwój rzeczy poszedł jednak w zgoła odmiennym kierunku.

Wynalazki techniczne i maszynizm ostatniego stulecia nie wpłynęły na zrationalizowanie myśli ludzkiej w kwestiach zasadniczych zagadnień życia grup społecznych i ich współżycia z innymi grupami społecznymi. Mistycyzm narodowe i państwowe nie tylko nie przestały istnieć i działać, ale wzmocniły się, a jeżeli znikały, to tylko, aby ustąpić miejsca innym, zwykle jeszcze bardziej intensywnym i bojowym, a namiętności, raz poruszone, nie słuchają zwykłego głosu rozumu.

Niewątpliwie charakterystycznym jest obecne, po ostatniej straszliwej wojnie, nasilenie nacjonalizmów. Masakra milionów istnień ludzkich nie odstrasza ludzi, którzy byli jej świadkami, od wzięcia udziału w nowych rzeziach, aby tylko zachować lub uzyskać jakieś drobne terytorium, uznane za część ojczyzny. Ponad życie nadal stawiane są dobra idealne, związane z przywiązaniem człowieka do swych odrębności narodowych i do ziemi ojczystej. Tylko siła, zaopatrzona w bezwzględny przysmus, zmusza ludzi w takiej sytuacji do wyrzeczenia się bojowych zamarów, ale iskrzący się w duszy żar nienawiści za krzywdę, w swoim oczywiście rozumieniu, nie wygasza, czeka sposobności, aby wybuchnąć niszczącym plomieniem.

Arcybogata jest w świecie literatura wskazująca, jak bardzo silnie na współżycie narodów wpływają stosunki gospodarcze: istnienie obok siebie państw biednych i bogatych, imperializm gospodarczy państw ekonomicznie potężnych, szukających w świecie surowców, a zarazem rynków zbytu dla swych przemysłów zatrudniających dziesiątki milionów ludzi.

Literatura ta szczegółowo motywuje i liczni dowodami historycznymi popiera twierdzenie, że walka o surowce i rynki zbytu jest głównym motorem działań politycznych wielkich mocarstw na arenie międzynarodowej. Walczą one równocześnie o pokój społeczny u siebie, o zapobieżenie bezrobociu i o swój dalszy rozwój ekonomiczny, dla życia ich już niezbędny. Walczą więc o konieczny rozwój swych wpływów w świecie, warunkujący i uwarunkowany ich potęgą gospodarczą i polityczną, opartą o potęgę zbrojną. W swej konkurencji z innymi mocarstwami, wielkie te po-

tegi posługują się, w miarę potrzeby, zawsze łatwo dającymi się wywołać konfliktami mniejszych państw, swych satelitów lub „sympatyków”, bo nie prostszego, jak drzemające pasje rozbudzić.

Ta materialistyczna filozofia stosunków międzynarodowych jest niewątpliwą prawdą w bardzo wysokim stopniu. Nie jest prawdą wyłączną. Bo chociaż do celów najbardziej materialistycznych nader często dąży się używając hasel idealistycznych, głosząc posłannictwo narodu itd., elementy duchowe nie przestają istotnie odgrywać roli dominującej w życiu narodów, a tym samym wpływać na formowanie ich stosunku do innych narodów. Jednym z takich elementów, elementem głównym, jest przywiązanie narodu do swych odrębności kulturalnych, do swej wolności regulowania swych wewnętrznych stosunków, przywiązanie do własnej ziemi, do własnego państwa, względnie dążenie do niego, o ile naród go nie posiada. Idea narodowa w szerokich masach jest stosunkowo świeżej daty, jak wiadomo, jest tworem ubiegłego stulecia, ale ma ona teraz moc żywiołu, którego energię i siły należy kierować ku celom godnym wielkości idei, aby nie szły drogą ohydliwego szowinizmu, szluzie zwanego nacjonalizmem zoologicznym. Przechodzić jednak do porządku dziennego nad ambicjami, pragnieniami narodu i postulatami, które na zasadzie prawa naturalnego uważa się na słuszne, nie można w organizacji stosunków międzynarodowych, o ile ma ona być trwałą. Chcąc dla dobra pokoju uporać się z aspiracjami narodowymi, nie dającymi się racjonalnie zaspokoić, a stwarzającymi trudności, można iść dwiema drogami, aby trwale rozwiązać problem: albo wpłynąć na zmianę stanowiska narodu przez wywołanie w nim przeświadczenia, że to, co uważa za swe prawo, nie jest nim według zasad sprawiedliwości, albo biologiczne zniszczenie tego narodu hitlerowskimi metodami. Nie ma innego rozwiązania, które by pozwalało patrzeć na dotychczas zadrażniony odciśnięcie stosunków międzynarodowych,

jako na definitywnie spacyfikowany, o ile w ogóle mówić można o definitywnym uregulowaniu stosunków między państwami w większości dziedzin łączącego ich życia.

Problem różnic, zachodzących w idealach życiowych narodów „starych”, pragnących pogłębiania swego stanu posiadania i stabilizacji i narodów „młodych”, przejętych idea swego posłannictwa, pełnych energii ekspansywnej, o odrębnej kulturze i odrębnej postawie wobec życia, tkwić będzie niewątpliwie u samych podstaw trudności w organizacji pokojowej społeczności międzynarodowej. Tymczasem zaś, wobec „postępów” sztuki zabijania i niszczenia, utrzymanie pokoju jest dla ludzkości koniecznością elementarną; musi być znaleziona formuła w życiu i prawie pokojowego współżycia państw i pokojowej likwidacji choćby najcięższych sporów i najeźdźczych przeciwności.

Liga Narodów przygotowywano jeszcze w czasie trwającej, pierwszej wojny światowej. Podobnie przygotowywały mocarstwa anglosaskie i ZSRR, wspólnie z innymi państwami bloku antytotalistycznego, Organizację Narodów Zjednoczonych. Główną rolę odegrały tu Stany Zjednoczone A. P., których wielki prezydent, Franklin Roosevelt, nie bacząc na ówczesną formalną neutralność tego mocarstwa, nie wahał się ułożyć i ogłosić w dniu 14 sierpnia 1941, Karty Atlantycznej, zawierającej zasady, wspólne dla polityki ich państw. W punktach 6 i 8 wyrażono nadzieję, że po ostatecznym zniszczeniu nazistowskiej tyranii zapanuje pokój, który pozwoli wszystkim narodom żyć bezpiecznie wewnątrz ich własnych granic i zapewni wszystkim ludziom we wszystkich krajach egzystencję, wolną od strachu i niedostatku.

Autorowie Karty Atlantycznej wyrażają przeświadczenie, że wszystkie narody świata winny zrezygnować ostatecznie z używania siły, a to zarówno ze względów praktycznych jak moralnych. W dniu 1 stycznia 1942 r., a więc

już po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny przeciw państwu osi, dwadzieścia sześć państw — wśród nich Polska — podpisały w Waszyngtonie Deklarację Narodów Zjednoczonych, że Stanami Zjedn., ZSRR, i Wielką Brytanią na czele. Stwierdzają one, że zupełne zwycięstwo nad wrogiem jest sprawą zasadniczą, aby bronić życia, wolności, niepodległości, wolności religijnej oraz utrwalic prawa człowieka i sprawiedliwość w ich własnych krajach i w innych. W tym celu zobowiązują się walczyć wspólnie i do końca przeciw hitleryzmowi.

W wyniku konferencji czterech mocarstw (Stanów Zjedn., ZSRR, Wielkiej Brytanii i Chin) ogłoszona została w Moskwie pod datą 30 października 1943 roku, wspólna ich Deklaracja o zbiorowym bezpieczeństwie. Powołując się na Deklarację Narodów Zjednoczonych, mocarstwa uznają (p. 4) konieczność stworzenia, o ile możliwe, jak najpiętniej, powszechnej organizacji międzynarodowej, opartej o zasadę suwerennej równości wszystkich państw pokojowych, aby zapewnić utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego. W tym samym duchu wypowiada się i Deklaracja podpisana w dn. 2 grudnia 1943 r. w Teheranie przez marszałka Stalina, prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla.

Idea Organizacji Narodów Zjednoczonych przybrała postać konkretną z chwilą, gdy eksperci czterech mocarstw, zebrani od sierpnia 1944 w Dumbarton Oaks pod Waszyngtonem, ogłosili w dniu 7 października tegoż roku projekt statutu Organizacji. Konferencja w Jaltie przedstawiła państwom anglosaskim i ZSRR, zdołała uzgodnić sporną kwestię prawa weta głównych mocarstw w łonie Organizacji, i w Deklaracji z dn. 12 lutego 1945 r. ustaliła na dzień 25 kwietnia termin zebrania się w San Francisco konferencji przedstawicieli wszystkich państw — Narodów Zjednoczonych, dla opracowania ostatecznego statutu Organizacji.

Prace Konferencji w San Francisco były wielce ułatwione przedłożeniem jej

projektem z Dumbarton Oaks, którego przepisy stały się zresztą trzonem przyszłej Karty Narodów Zjednoczonych. Pieczędźsiat delegacji zebrali się w San Francisco, pięć języków uznano za oficjalne (angielski, rosyjski, francuski, hiszpański, chiński) z tym, że angielski i francuski przyjęto jako języki pracy, tj., że wszystkie przemówienia musiały być przetłumaczone na oba języki, o ile w nich nie były wygłoszone. Dokumenty i sprawozdania z obrad Konferencji i jej poszczególnych sekcji, obejmują osiem tomów po 1000 stron druku, w obu tych językach. Pozostałe języki oficjalne doszły do głosu przy ostatecznym ustalaniu tekstu Karty, który podpisano w dniu 26 czerwca 1945 roku. Polska podpisała Kartę dodatkowo, w dniu 15 października tegoż roku, lecz na zarezerwowanym sobie dawniej miejscu jako pięćdziesiąte pierwsze państwo, ratyfikowała ją zaś w dziewięć dni później jako dwudzieste szóste. Karta weszła w życie w dniu 24 października, po nadejściu do Waszyngtonu przewidzianej nią, minimalnej liczby dwudziestu dziewięciu ratyfikacji, w tym pięciu głównych mocarstw (Stanów Zjednoczonych, ZSRR, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin). Potężna organizacja międzynarodowa pod nazwą „Narody Zjednoczone” została założona. Moment ten ogłosił uroczyste światu James F. Byrnes, minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, uważając, że w dziejach ludzkości rozpoczyna się nowa era.

(W następnym numerze zamieścimy dalszą część artykułu p. t. „Organizacja Narodów Zjednoczonych.”)

ERRATA

W pierwszej części artykułu, zamieszczonej w numerze 3, wkradła się omyłka.

W zdaniu zaczynającym się od słów: „Biorąc ten tekst za wierne z chińskiego...” winno być „Państwa Środka” zamiast „Państwa Smoka”.

Siedzioba biskupów polskich na Warmii

Jedynym z zabytków, świadczących o polskości Pomorza Wschodniego, który przetrwał szczęśliwie zawieruchę wojenną, jest zamek biskupi w Lidzbarku Warmińskim. Położony malowniczo nad rzeką Łyną, na wzgórzu dominuje nad miastem swą masywną budowlą. Systemem krużganków przypomina zamek królewski na Wawelu.

Przeszło do zamyku lidzbarskiego sięga dawnych czasów. Jest rzeczą pewną, że został on pobudowany dla ochrony Warmii przed napadami Krzyżaków. Stare kroniki podają, że zamek został założony przez biskupa Jana z Myśni (1350—1355), zaś budowlę ukończyli: Jan II i Henryk III z Zerbunia (1373 do 1401). Małą kapliczkę na pierwszym piętrze zamyku wybudował Łukasz Wacelród. Prace zdobnicze zostały wykonane za czasów Jana Szczepana Wydzigi w r. 1875.

W jednym z dokumentów, który rzuca światło na przeszłość zamyku, czytamy: „Anselm, pierwszy polski biskup na Warmii, dał kapitule w r. 1260, przy założeniu tejże, wolny wybór biskupa i kanoników i potwierdził jako legat papieski swój własny utwór. Przez to uchroniono Warmię przed wpływem zakonu krzyżackiego i wolność, wyjątkowo stanowisko i rozkwit biskupstwa zapewniono. Łódka samodzielności swej wiedzieli biskupi warmińscy tak zresztą kierować aż do r. 1772, że wszelkie skąły ominieli. Zakon krzyżacki coraz więcej światowy i dlatego łakomy na kraj, starał się po kilka razy biskupstwo ujarzmić, lecz bezskutecznie. Ostatni raz starał się to uczynić wielki mistrz Albrecht. Zająwszy w wojnie przeciw Polakom największą część Warmii, zwrócił się on w r. 1523 do papieża i wytłumaczył mu korzyści, które by miało przylączenie Warmii do państwa krzyżackiego. Lecz papież odmówił. Na szczęście, bo w innym razie byłaby podług ludzkiego przewidywania także w dzisiejszej Warmii religia katolicka, od ojców odziedziczona, zaginęła, tak jak w owych dwóch trzecich częściach diecezji, które znajdowały się w Książcach Prusach.”

Burmistrz lidzbarski Österreich, który żył około r. 1500 w „Heilsberger Chronik” pisał:

„Ponieważ zakon krzyżacki biskupstwu warmińskiemu tak bardzo dokuczał, ażeby takowe pod swe jarzmo dostać, byłby on rzeczywiście dopłać celu, gdyby na czas temu nie zaradono. Zdarzyło się bowiem, że biskupstwo to za sprawą zakonu krzyżackiego 8 lat było bez biskupa. Dlatego postanowiono, przeciw takowej bledzie w biskupstwie kilka twierdz pobudować, do czego podani z pomocą bardzo chętnie się okazywali. Zatem kazał biskup zamek w Lidzberdze od fundamentu z okasyłymi

murami i z wielu sklepami pod nim pobudować, utwierdzenia zaś jego ziemią napelnic. I pobudowano za życia biskupa Jana z Myśni na chłopa wysoko... Tej budowie byłby mistrz ze swym z konem krzyżackim chętnie przeszkodził, lecz on nie wiedzieli jak to zrobić, bo byli oni już w Niemczech oślawieni, że byli przesładowcami księży. Dlatego nie wiedzieli, jak to zrobić.”

To samo o fundowaniu zamyku lidzbarskiego co i Österreich, pisze w swym tłumaczeniu T. Treter, także Grunau.

Stare druki mówią

Olsztyn. Pierwszą wystawą druków mazurskich, zorganizowaną przez Instytut Mazurski w Olsztynie, cieszy się olbrzymim powodzeniem. Stare druki, dające świadectwo polskości ziem mazurskich, ściągają liczne rzesze społeczeństwa miejscowego i z centralnej Polski.

Obok wielkiej wartości dydaktycznej wystawa posiada również duże znaczenie polityczne: przypomina bowiem szerszemu ogółowi, że ziemie Prus Wschodnich, będące do niedawna bastionem prusactwa niemieckiego, były od XVI wieku kolebką piśmiennictwa polskiego, a w ciągu wieków następnych wielkim ośrodkiem myśli i twórczości polskiej.

Na Mazurach drukowane były pierwsze książki polskie. powstała tu pierwsza polska gazeta. Była to co prawda prawie wyłącznie twórczość o charakterze religijnym, lecz wycisnęła ona swe silne piętno na mieszkających tych ziem i pozostawiła na nich niezatarty ślad polskości. Tak np. Kancjał polski Jerzego Wasławskiego, do dzisiaj używany na Mazurach, jest książką, z którą Mazur nie rozstaje się od kołyski do grobu.

Ziemia Mazurska wydała takich pisarzy jak Mrongowian i Głowieniec oraz chluba nauki polskiej Wojciecha Kętrzyńskiego. Na Mazurach urodził się i tworzył wieszcz ludu mazurskiego, Michał Kajka.

Wystawa zgromadziła prace 21 pisarzy i działaczy mazurskich, ocenionych w pożogi wojennej.

żyjący około 1500 r., prałat-kanonik warmiński (1447), Plastwig, który „jest w swych opowiadaniach bardzo pewny” (kan. prof. Eichhorn Z. f. G. E. I. 115 i Henneberger w „Erclerung der Preussischen grössern Landtafel S. 140”).

Następca biskupa Jana z Myśni, Jan Drugi, budował zamek na Warmii dalej. Lecz gdy wielki mistrz krzyżacki chciał go zamordować, musiał uciekać w przebraniu na dwór papieski, gdzie został za sprawą Krzyżaków otruty (Plastwig p. 65 Grunau IX. II. & 2, Österreich 77—79, Treter 15—18).

W r. 1442 część zamyku padła pastwą pożaru, którą w następnych latach odbudowano. Wspomina o tym kronikarz, który pisze: „Anno domini 1442... wypaliła się część zamyku lidzbarskiego i niektóre belki spadły na wewnątrz na sklepienie i je zalałamy...”

Dalsze losy zamyku przedstawia najlepiej historycy, których wypowiedzi cytujemy: Adolf Böttcher w „Bau- und Kunstdenkmäler IV, Ermland (r. 1894) na str. 136 pisze:

„Po odejściu biskupa Krasickiego 1795 stał zamek zupełnie próżny i stał się niemal ruiną. Biskup Stanisław miał zamiar przenieść seminarium dla księży z Braniewa tu dotąd, ale na czelny przesprzeciwili się temu, pisząc dnia 6 czerwca 1839: „Królewskie ministerium spraw duchownych zważywszy na coraz gorszy stan, grozący zawaleniem i zbyteczność starego dotychczasowego biskupiego zamyku w Lieberku razem z nowopobudowanym skrzydłem uważało za odpowiednie, sprzedać to stare domostwo, lub dla użycia materiału rozebrać, a należący do niego ogród na sprzedanie oddać.”

Dopiero na odwrotne przedstawienie biskupa przyznał: „że stary zamek w Lieberku wraz z zamkową kaplicą dla dalszego utrzymania, choćby tylko jako ruina, godzien jest. Tak tedy zamieniono w r. 1861 zamek, dawne wspaniałe mieszkanie biskupów polskich, na zakład dla sierot i chorych na koszt biskupa.”

Z historii rozbudowy i upiększenia zamyku biskupiego w Lidzbarku za czasów polskich i upadku tegoż po obrabowaniu Warmii przez rząd pruski warto przytoczyć kilka szczegółów z wykładu, który miał w dniu 9. X. 1905 r. w Lidzbarku ówczesny przewodniczący towarzystwa historycznego warmińskiego, prepozyt prof. dr. Dittlich:

„Z roku 1767 — mówił Dittlich — mamy przed nami inwentarium kanoników, które nam daje dosyć dokładne wyobrażenie o ówczesnym stanie zamyku. Przed południową stroną starego zamyku stał wówczas po połowie XVII wieku nowy zamek pobudowany, który był w ówczesnej rezydencją biskupów... Nowa ta rezydencja istniała jeszcze w

r. 1795 (w roku, w którym skończyły się rządy biskupów polskich na Warmii), aż w pierwszą połowę XIX wieku; tylko skrzydło, które do północnej strony zamyku obok ośmiokątnej wieży było nadbudowane i które z naprzód wystającego domu i kilku pokoi się składało, kazał Krasicki zburzyć. Jako powód zburzenia podano to, że skrzydło to jest zbyteczne, że biskup po zajęciu Warmii przez rząd pruski, które w r. 1772 nastąpiło, za bardzo w swych środkach był ograniczony, ażeby móc tyle budowli utrzymać.”

O malaturze w głównej sali zamyku powiedział prof. Dittlich, że była ona „bardzo dobrą robotą”, twierdząc, że „motyw ozdób jest do tego czasu bez przykładu w obrębie tej ziemi” (a więc podług Steinbrechta nie ma ona nic wspólnego ze sztuką i kulturą niemiecką. Dittlich stwierdził powyższe na podstawie zdjęć dokonanych przez geomeistrata Steinbrechta). Równocześnie wymalowano ukoronowanie Marii na ścianie kaplicy, malowidło, które jest o wiele lepsze niż wiele innych fresków sztuki średniowiecznej. Salę tę kazali wymalować biskupi Rudnicki i Radziejewski.

„Na początku XVIII wieku wymalowano całą salę purpurowo... Ozdoby ściśnięte są tylko w ogólnych zarysach malowane, lecz komnaty te musiały być bardzo wspaniałe wrażeń robić.” Według zdania prof. Ditticha malatura ta pochodzi z czasów biskupa Stanisława Grabowskiego, który herby aż do swego własnego wymalował i salę obrazami biskupów ozdobił.

Po opanowaniu Warmii Prusacy spłądowali zamek, a w r. 1812 znajdował się on w stanie opłakany i w tym stanie przetrwał do r. 1923, kiedy to Steinbrecht rozpoczął pracę w celu przekształcenia zamyku i upodobnienia go do budowli krzyżackiej.

Najważniejsze jednak to, że mimo ogromnego wkładu pieniężnego nie udało się Steinbrechtowi zatrzeć śladów polskości zamyku. Jeszcze do dziś dnia na ścianach głównej sali widnieją herby biskupów polskich, a spod opadającego tynku wyłaniają się na ścianach stare malowidła, napisy itp.

Po zakończeniu prac umieszczone w zamyku muzeum, z którego skrzętnie sunięto wszystkie ekspozyty, które mogłyby świadczyć o polskości Pomorza Wschodniego. Wydano kilka pięknych broszur o zamyku, w których z wrodzoną Niemcom bezczelnością propagowano piękną budowę jako twór... niemiecki. Było to jedno z drobnych kłamstw i oszustw, na całości których Niemcy budowali swoją potęgę.

Dziś zamek jest jednym z ocalałych dokumentów polskości Pomorza Wschodniego.

Antoni Kwiatkowski

Zbigniew Korosadowicz

Nowe drogi ratownictwa i przewodnictwa tatrzańskiego



Członkowie Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego obserwują bacznie zjeżdżających narciarzy
Foto Z. Korosadowicz

Zakopane, w styczniu.

Wszyscy bywalcy Kasprowego Wierchu, narciarze i entuzjaści słońca górskiego, zażywający kąpiei słonecznych na tarasach budynku stacyjnego, niejednokrotnie musieli zauważyć na Kasprowym ludzi z przepaską na ramieniu, na której widnieje niebieski krzyż w białym polu. Czasem ubrani po góralsku w białych „cyfrowanych” portkach, czasem po ceppersku, raz młodzi to znów starzy, wędrowni. To ratownicy Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, pełniący służbę stałych dyżurnych w terenach narciarskich Kasprowego.

Wielu zapewne ze zjeżdżających z Kasprowego narciarzy zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że w ślad za każdym z nich bardziej lub mniej udanym szumem, śmigami czy christianiami biegnie baczne spojrzenie ratownika tatrzańskiego, starego wygi górskiego, który gotowy jest w każdej chwili spieszyć z pomocą w razie przykrego w następstwie upadku, pociągającego za sobą takie czy inne obrażenia ciała.

Tatrzańskie Ochołnicze Pogotowie Ratunkowe czuwa. Dwóch dyżurnych wyjeżdża codziennie pierwszą kolejką

na Kasprowy by pełnić swą służbę do zmroku, do chwili gdy Kasprowy opustoszeje a narciarze zjadą w doliny. Wtedy zjeżdżają i ratownicy: jeden popularną trasą zjazdową przez Halę Gąsienicową, drugi takąż trasą przez Dolinę Goryczkową. Po drodze przepatrują okoliczny teren. O ile w dolnych partiach gór brak jeszcze śniegu i nie ma możliwości aby gdzieś w dole tkwił nieszczęśliwy narciarz ze złamaną czy ze zwiniętą nogą, dyżurni Pogotowia zjeżdżają ostatnią kolejką. Nielatwą jest służba w Pogotowiu. Transport ranne odbywający się zazwyczaj w ciężkich warunkach, bo wtedy najłatwiej o wypadek, na specjalnie skonstruowanych saneczkach ratunkowych t. zw. toboganie, wymaga niejednokrotnie olbrzymiego wysiłku. Nieraz trzeba ciągnąć tobogana w głębokim śniegu, kopiąc się po pas, w zawiewie i mgłę, lub po gładkiej jak szkło śluzi. A to tylko jeden z odcinków działalności Pogotowia. Wyprawy ratunkowe, podejmowane często w strasznych po prostu warunkach atmosferycznych, w burzy, zawiewie, śnieżyce, długie, wielogodzinne poszukiwania pod lawinami, kilkunastodniowe nieraz wyprawy poszukiwawcze,

gdy trzeba przetrząsnąć każdy załom urwiska, zajrzeć za każdy kamień w dolinie — oto pole na którym się ta działalność rozwija. Tatrzańskie Pogotowie Ratunkowe założyło we wszystkich schroniskach stacje ratunkowe, zaopatrzone w niezbędne leki, środki opatrunkowe i ratownicze. W centrali w Zakopanem gotowy jest w każdej chwili do użytku sprzęt i ludzie spieszący na każdy alarm.

Zaprowadzone w ostatnich czasach telefony we wszystkich schroniskach tatrzańskich a więc w schroniskach przy Morskim Oku, w Roztoce, na Hali Gąsienicowej i na Kalatówkach w bardzo wysokim stopniu przyczyniają się do należytego funkcjonowania służby ratunkowej w Tatrach.

Samo Pogotowie Ratunkowe po okresie przeżytego kryzysu znajduje się w chwili obecnej na drodze do jak najlepszego rozwoju. Drużyna ratownicza została w ostatnim czasie znacznie zwiększona, przy czym wprowadzono do niej element młody, doskonale obzna-

pomocy, w czasie którego uczestnicy przeszli przeszkolenie teoretyczne i praktyczne ze szczególnym uwzględnieniem ćwiczeń w bandażowaniu i udzielaniu zastrzyków. Bezpośrednio przed świętami Bożego Narodzenia zorganizowano kurs techniczny, w czasie którego uczestnicy przeszli trening z zakresu techniki poszukiwania i ratowania zasypanych lawiną, zwożenia rannych w trudnym terenie górskim śnieżno-skalnym itd.

W ramach kursu dokonano zbiorowego zimowego przejścia Orlej Perci po przebiegu Czuby i Kozi Wierch. Ten ostatni moment zasługuje na specjalną uwagę. Przewodnictwo tatrzańskie, które dotychczas ograniczało się właściwie tylko do lata, w zimie zaś wyłącznie do narciarstwa, dokonało znacznego kroku naprzód. Zbiorowe przejście w zimie urwisk Orlej Perci jest wydarzeniem dotychczas w dziejach przewodnictwa tatrzańskiego niespotykanym, wydarzeniem pociągającym za sobą nabycie odpowiedniej techniki w zakresie tury-

Nie stanowi to oczywiście całkowitego pokrycia zapotrzebowania wymogów ratownictwa tatrzańskiego, stanowi jednak niezmiernie ważne cegiełki budujące jego całokształt. Wysiłki kierownictwa Pogotowia idą również w kierunku unowocześnienia sprzętu ratowniczego, który jest u nas przestarzały i żadną miarą nie może się równać z używanym na terenie gór zagranicznych. Do największych braków Pogotowia należy obecnie brak samochodu, przy pomocy którego wyprawy ratunkowe pojeżdżałyby ku górom, oraz, który służyłby do transportu rannych.

W ujęciu sumarycznym można powiedzieć, że zarówno Pogotowie Ratunkowe w Tatrach, przeżywa obecnie renesans po okresie przykrego kryzysu wewnętrznego, jak i przewodnictwo tatrzańskie, dzięki zabiegom oddziału Zakopiańskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zostaje ujęte w odpowiednie ramy i podciągnięte wzwyż. W planowanej akcji przez Wydział Uzdrawiskowy Zarządu Miejskiego w Zako-



Pogotowie Tatrzańskie przy pracy. Z lewej sondowanie głębokości lawiny, z prawej zjazd po niebezpiecznym stoku
Foto Z. Korosadowicz

jomiony z dzisiejszą techniką jazdy na nartach. Ratownicy, którzy w znakomitej części rekrutują się z zawodowych przewodników tatrzańskich Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (w myśl nowego regulaminu Pogotowia wszyscy przewodnicy tatrzańscy należą do niego z obowiązku) przechodzą stałe systematyczne przeszkolenie zarówno w zakresie teorii jak i praktyki. W listopadzie i grudniu ub. r. odbył się kilkutgodniowy kurs niesienia, pierwszej

styki wysokogórskiej, łącznie ze wszystkimi arkanami asekuracji linowej, tej techniki na której może czasem i starszym wygom — przewodnikom zbywało. Jest to krok naprzód na drodze do osiągnięcia takiego poziomu na jakim stoi przewodnictwo np. na terenie Alp.

Ostatnio odbyty kurs techniczny jest właściwie już drugim w bieżącym roku; jeszcze bowiem w lipcu odbyła się wspólna wycieczka przewodników, w czasie której dokonano przejścia Grani Czarnych Ścian. Kierownictwo obu kursów spoczywało w rękach kierownika Tatrzańskiego Ochołniczego Pogotowia Ratunkowego.

Wracając do spraw Pogotowia Ratunkowego trzeba z prawdziwą przyjemnością podkreślić, że działalność Pogotowia i starania jego kierownictwa znalazły ostatnio uznanie i przychylne poparcie ze strony władz i oświaty instytucji. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przeposobienia Wojskowego pospieszył Pogotowiu z pomocą w krytycznej chwili, gdy ratownicy tatrzańscy byli pozbawieni zupełnie butów górskich, ofiarując Pogotowiu parę par butów narciarskich. Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji udzielił ostatnio znacznej subwencji również na sporządzenie obuwia górskiego. W ten sposób dzięki pomocy władz, zostaje zaspokojona największa bolączka Pogotowia, jaką był brak butów dla ratowników. Z pomocą w zakresie przydziału pewnej ilości najpotrzebniejszych leków i materiałów aptecznych pospieszył Polski Czerwony Krzyż, przy utrzymaniu służby ratunkowej na Kasprowym wspomaga Pogotowie w znacznej mierze Polskie Koleje Linowe.

panem oraz przez Państwowy Urząd WF i PW spopularyzowania wysokogórskiej turystyki zimowej, przewodnictwo tatrzańskie będzie miało już ważki głos. Z informatora zimowego wydanego ostatnio przez Zarząd Miejski w Zakopanem dowiadujemy się, że na sezon zimowy bieżącego roku przewiduje się szereg wycieczek wysokogórskich o charakterze czysto narciarskim, lub narciarsko-wspinaczkowym prowadzonych przez przewodników zawodowych Pol. Tow. Tatrzańskiego. Wśród nich widnieją tak piękne wycieczki, jak np.: wycieczka z Kasprowego Wierchu do Morskiego Oka przez Świnicę — Zawrat — Dolinę Pięciu Stawów — Szpiglasową Przełęcz; trzydniowa wycieczka narciarska w Zachodnie Tatry z wyjściem na Bystrą, przejściem przez Siwą Przełęcz, wyjściem na Trzydniowiński i Kończystą nad Jarzabcą; wycieczka na Rysy i wiele wiele innych.

Wszystkie te wycieczki będą prowadzone przez zawodowych przewodników tatrzańskich przy współudziale instruktorów z Klubu Wysokogórskiego PTT, jedynej w Polsce instytucji, posiadającej charakter zrzeszenia czysto alpinistycznego.

Jedną z bardzo ważnych kwestii na odcinku turystyki tatrzańskiej jest również wciągnięcie zawodowych przewodników PTT w masowy ruch wycieczkowy Funduszy Wczasów Pracowniczych. Ruch ten do dziś dnia ma charakter niezorganizowany. Ujęcie go w odpowiednie ramy przy wykorzystaniu przewodników tatrzańskich mogło by niewątpliwie przynieść mu znaczne korzyści.



Z lewej: grupa członków Pogotowia, z prawej forsowanie ściany
Foto Z. Korosadowicz

Obserwatorium astronomiczne

(Dokończenie ze strony 1)

dary w postaci wydawnictw. W przygotowaniu są własne publikacje naukowe, w których wydrukowane będą wyniki badań naukowych pracowników placówki wrocławskiej. Wydawnictwa te będą rozsyłane do innych obserwatoriów i instytucji naukowych zagranicznych w ramach wzajemnej wymiany.

Obecnie pracuje we Wrocławiu zespół b. lwowskich astronomów: prof. dr. Eugeniusz Rybka jako dyrektor, oraz jego współpracownicy: dr. Jan Mergentaler, dr. Antoni Opolski i mgr. Stefania Ninger-Kosibowa. Ponadto oba obserwatoria zatrudniają jeszcze trzech młodych asystentów, 1 urzędnika i dwóch woźnych. Całkowity personel składa się więc z 7 osób pracowników naukowych i 3 osób personelu administracyjnego.

Zespół naukowy planuje kontynuowanie i prowadzenie nowych badań astronomicznych. Koniecznym jest także jak najrychlejsze uruchomienie badań z fotometrii fotograficznej gwiazd, tych badań, które rozpoczęte zostały we Lwowie a uległy przerwie na skutek wybuchu wojny. Dzięki bardzo dobrym

warunkom rozwojowym, jakie posiada Obserwatorium Wrocławskie, istnieje możliwość nie tylko racjonalnego wykorzystania posiadanych już instrumentów, ale także powiększenia zakresu badań przez rozszerzenie urządzenia, główne przez dodanie instrumentów, służących do celów astrofizycznych, do fotometrii fotograficznej i analizy widmowej gwiazd. Posiadanie zaś syderostatu umożliwi także obserwacje słoneczne (nad fizyką słońca).

Jeśli chodzi o tradycje niemieckie, to wydano tu przed wojną 5 tomów „Sternwarte Breslau”, 13 zeszytów „Veröffentlichungen der Sternwarte Breslau” oraz 10 zeszytów „Kleinere Veröffentlichungen der Sternwarte Breslau”. Początkowo były prowadzone i obserwacje meteorologiczne, lecz główne prace dotyczyły badań astrometrycznych. Opublikowano kilka katalogów z pozycjami gwiazd, zajmowano się obserwowaniem gwiazd podwójnych, badaniem teoretycznym z wyznaczeniem orbit, w ostatnich zaś latach środek ciężkości badań niemieckich przeniósł się do badań fotometrycznych planet światła zodia-

kalnego. Cennego materiału dostarczyła przy tym filia w Windhuk.

Na wykłady, odbywające się w Obserwatorium, uczęszcza w tej chwili około 25 studentów, studiujących matematykę, fizykę i astronomię. Ponad 20 słuchaczy bierze udział w ćwiczeniach praktycznych, odbywających się w godzinach 18—20. Trzech studentów specjalizuje się w astronomii.

Niestety — Obserwatorium boryka się z ogromnymi trudnościami materialnymi. Dotacje miesięczne na wszystkie potrzeby naukowe wynoszą od 8.000 do 10.000 zł. Z dotacji tych musi być w dodatku pokrywana znaczna część wydatków administracyjno-gospodarczych. Obserwatorium cierpi na brak etatów sił pomocniczych administr., wskutek czego personel naukowy jest nadmiernie obciążony sprawami nie mającymi nic wspólnego z nauką, co z kolei musi odbić się ujemnie na pracy naukowej.

Uzyskanie więc lepszych podstaw finansowych i rozszerzenie etatów jest najbardziej palącą potrzebą Obserwatorium — jeśli ma się ono stać chlubą polskiej nauki.



Zjazd z rannym narciarzem, ułożonym na t. zw. „topoganie”; dwóch członków Pogotowia ciągnie sanki — topogana, jeden z tyłu reguluje równowagę
Foto Z. Korosadowicz

Eugeniusz Bryza

Wilk morski

Nowela

Początkowo myślałem, że ma nieszkodliwego dla otoczenia bika; kiedy poznałem go bliżej, przekonałem się, że był tylko nieprzeciętnym dziwakiem o wielkim, dobrym sercu. — Dziś, po z górą sześciu latach od chwili, gdy widziałem go po raz ostatni, określenie jego osobowości mianem „dziwaka“ wydaje mi się niesprawiedliwe.

Trzecią jego życia było morze, silne, serdeczne ukochanie wielkiej wody. Kulturował to uczucie z taką mocą i przejęciem, że zachowanie jego przybrało w oczach obcych formę dziwactwa.

Tadeusz nie był nigdy żeglarzem, i zdaje się nie odbył w swoim życiu ani jednego dalszego rejsu. Kto go jednak nie znał tak dobrze, jak ja, łatwo mógł ulec mistyfikacji, że ma przed sobą nie być jakiego „wilka morskiego“. Bo znał się on na morzu i na wszystkim, cokolwiek z tym tematem posiadało najmniejszy chociażby związek. Tym samym wiedział dużo o ludziach morza, ich zwyczajach i obyczajach. Kochał bractwo marynarską, stale obracał się w jej towarzystwie i cenił ją sobie ogromnie. Kochał go i oni i uważali, że należy do ich rodziny — wielkiej rodziny synów morza.

Ubiął się z marynarską — aż zbyt jaskrawo z marynarską! No, sił dobrze skrojony mundur z upożycowanymi dystynkcjami oficera floty handlowej. Na pierwszy rzut oka trudno było połączyć się, że jest to wyłącznie kostium, w którym tak znakomicie grał sztukę swego życia. Na tym tle było wiele humorystycznych incydentów, arcyzabawnych nieporozumień, zwłaszcza z płcią piękną, do której — jako „syn morza“ — czuł zrozumiały pociąg. Będąc wierny tradycji, że marynarz posiada w każdym porcie damę swego serca, miał i on kilka przyjaciółek, wprowadził nie w Singapur, Rio de Janeiro, czy w Frisco, lecz za to ładne dziewczynki wyrobu krajowego w Gdyni, Gdańsku, Sopocie i na Helu. Pisywał też do urodziwej Szwedki, której uczucie zdobył podczas pamiętnego rejsu do Sztokholmu, dokąd przejechał na „blinda“ (po ładownemu: „na gapę“), zabrany na pokład przez przyjaciół w stanie nietrzeźwym.

Miał też liczne grono dobrych znajomych z zagranicznych statków, wśród nich nawet kilku egzotycznych żeglarzy kolorowych. — Znał doskonale język angielski, francuski i niemiecki, dzięki czemu porozumiewał się dobrze ze swymi zamorskimi przyjaciółmi. W życiu portowym brał bardzo czynny udział. Był to jego żywioł, atmosfera, którą oddychał z największą rozkoszą. W godzinach wolnych od obowiązków zawodowych krążył po nadbrzeżach z nieodłączną dekoracyjną fajką w zębach i rękoma w kieszeniach. Całymi godzinami przyglądał się intensywnej pracy na statkach, zwieżdżał je, wciągał w rozmowy żaglowi, udając po mistrzowsku ich kolegę spod polskiej bandery. Łatwo pozyskiwał sympatię obcych, bo miał w swym zachowaniu coś, co zjednywało mu ludzi. Wieczorami często przesiadywał w barach na pogawędce z przygodnymi znajomymi, lub zabawiał się podobnie jak oni. Z biegiem czasu, kiedy poznał się na komedii, przeważało go wesołe „wilkiem morskim“. Imponowało mu to ogromnie i jeszcze bardziej dostroił się do swej roli.

Niewątpliwie był romantykiem, lecz nie czczym i pustym pozerem swej manii. Posiadał olbrzymie zasoby teoretycznych wiadomości o morzu; okazał się również pilnym

samoukiem w sztuce żeglarskiej i od strony praktycznej, czego dał nieraz dowody. Odwiedziłem go kilka razy w jego domu. Mieszkanie było wiernym odbiciem „idee fixe“ jego gospodarza. Na ścianach widziałem mnóstwo obrazów znanych marynistów, kolekcję map morskich, a w oszklonej szafie widniały przyrządy nawigacyjne. Miał też bogatą literaturę morską. Muszę nadmienić, że był on chodzącą encyklopedią w dziedzinie spraw morskich i chętnie pisywał się swoją wiedzą marynistyczną. Widziałem raz u niego na biurku fragment grubego dzieła nad którym ostatnio pracował. Na okładce brulionu przeczytałem tytuł: „Polska terminologia morska“. Byłem zdumiony i serdecznie ubawiony pomysłowością autora przy tworzeniu neologizmów słownika morskiego. Zwróciłem mu delikatnie uwagę na kilka terminów, które brzmiały dość groteskowo.

— Przyzwyczailście się do używania obcych śmieci i dlatego to cię razi — uśmiechnął się z uprzejmym wyrozumieniem — ale to nic, przyswoicie sobie nowe, nasze, polskie określenia.

— Czy może... napisałeś coś jeszcze — spytałem z ciekawości.

Dziś przyznaję, że wyrzuciłem mu krzywdę. Nie interesowały mnie jego prace, lecz powodowała

mną ciekawość, a raczej chęć zabawienia się jego kosztem. Niestety, nie byłem rzetelny.

Tadzio podszedł do biblioteki, wydobył plik maszynopisów, położył przede mną i patrzył dumny i uszczęśliwiony. Przeczytałem tytuł okazałego elaboratu i spojrzałem na niego zdziwiony. Wówczas oczy jego, duże, dobre oczy — zatrzymały się!

— „Bandera polska zdobywa świat“ — powtórzyłem i przerzuciłem parę kart. Nie miałem czasu zagłębiać się w czytanie, lecz na podstawie niektórych zdań przekonałem się, że całość musiała tworzyć gorący hymn pochwalny dla polskiej sprawy morskiej, szczerą egzaltację około naszego posiadania nad Bałtykiem. Wiedziałem odtąd, że oprócz ukochania morza jako żywiołu, kochał je ogromnie jako bastion Polski na północy. Dał tego zresztą wzruszający dowód... niedługo.

Było to we wrześniu 1939 roku. Po złamaniu bohaterskiego oporu Niemcy wkroczyli do Gdyni. Westerplatte i Hel grzmiały jeszcze działami ich obrońców. Przypadek zrzucił, że znalazłem się wówczas w towarzystwie Tadeusza w jego mieszkaniu, gdzie się schroniłem. Nie zastałem go w domu. Gospodyni lamentowała, że Niemcy zastrzelili go gdzieś na ulicy, bo z powodu całej jego powierzchowności łatwo mogli wziąć dzi-

waka za wojskowego. Okazało się jednak, że się myliła, bo przyszedł niebawem. Był ranny w lewą rękę. Wracał do portu. Blady, przejęty, opowiedział nieprzytomnie swoją przygodę, z której zrozumiałem, że dostał się pod ostrzał karabinów maszynowych.

Odgłos butów niemieckiej piechoty dochodził nas z ulicy. Z przeżeniem stwierdziłem, że wpadł do mieszkania tylko po to, aby nałożyć sobie opatrunk i zamierzał znów wyruszyć. Dokąd?

Dowiedziałem się o tym za chwilę. Byłem zrozpaczony i wściekły na niego.

— Czyś ty oszalał?!

— Nie. To mój obowiązek — odparł spokojnie.

— Zrzuć przynajmniej ten... no, ten „mundur“, bo wpakują ci kulę! Wezmą cię co najmniej za kapitana.

— Za żadne skarby! — właśnie dziś! Jestem wierny banderze — do ostatka!

— Durniu skończony! — a komuś ty przysięgał na wierność?! — krzyknąłem na niego, bo dość już miałem całej komedii.

— I tyś przysięgał, i cały naród ślubował, że nie odda polskiego morza! Czyż już zapomnieli o tych hasłach wypisanych na transparentach obnoszonych w pochodach, drukowanych na afiszach, że „Nie damy polskiego morza“?! — spytał mnie z tragicznym załama-

niem w głosie. — Widzisz, i teraz jest próba wierności i ja muszę, muszę okazać się konsekwentny, tak, jak oni! — prawie ze łzami w oczach wskazał w kierunku Gdańska i Westerplatte, skąd dochodziły odgłosy walki.

— Jesteś cywilem, nie masz obowiązku — starałem się powstrzymać go za wszelką cenę.

— Nigdy nim nie byłem — w sercu!

— Ależ człowieku, to nie ma sensu! Przystań grać! Zastanów się!

Wydobył z biurka olbrzymi pistolet, wsunął do kieszeni, podał mi zdrową rękę, którą uściśnięm (przyznaję, że ze wstydem) i pognął.

Nie podszedłem nawet do okna, aby nie być świadkiem jego nieszczęścia. Nie, nie strzelali. Udało mu się przekraść. Dokąd poleciał i czy poległ wówczas — nie wiem.

Jestem natomiast przekonany, że o ile żyłby, nie wytrzymałoby jego serce i przedostałby się bodaj przez samo piekło, byle dostać się do swego najukochańszego miasta na świecie: do Gdyni, by zobaczyć stęsknionymi oczyma to wszystko, co było mu tak drogie i wielkie, dla czego właściwie żył i za co nie zawahał się umrzeć.

Jeżeli poległ gdzieś na morzu i spoczywa na jego dnie, wiem, że spełniło się najgorętsze pragnienie jego życia: jest już teraz na zawsze z morzem.

1000 mil na godzinę

Doświadczenia, które obecnie przeprowadzane są w Kornwalii, zrewolucjonizują lotnictwo. Być może w ciągu najbliższych pięciu lat, a może i dłużej, nie zobaczymy żadnych namacalnych rezultatów tych eksperymentów, nie mniej przeto pewne jest, że ludzie będą mogli latać z szybkością większą od szybkości rozchodzenia się głosu i że próby te wyjaśnią wiele problemów, które stoją na przeszkodzie dalszemu rozwojowi lotnictwa. Rozważmy na przykład, jakie są te trudności.

Większość z tych, którzy interesowali się próbami ustanowienia nowych rekordów szybkości, które R. A. F. (Royal Air Force) podjęło w Tangmer, wie, że im większa jest szybkość, tym trudniejsze są warunki dla samolotu i pilota. I w końcu dochodzi się do

punktu, w którym wydaje się, że jakaś zapała hamuje dalszy postęp. Doszliśmy obecnie do tej zapy, której uczeni nadali nazwę „ściśnięcie“.

Przy szybkościach równych szybkości głosu, powietrze przestaje gładko opływać skrzydła samolotu, a zamiast tego zaczyna, jak gdyby zagęszczać się przed samolotem, starając się złamać go, tak, że leci on jak na twardą ścianę. Można by sądzić, że sforsowanie tej ściany jest tylko kwestią brutalnej siły i mocy maszyn. Niestety, praktyka wykazuje, że nie jest to tak proste.

Powietrze przestaje łagodnie płynąć wzdłuż skrzydeł, a bez tego opływu samolot nie daje się kontrolować i staje się bezużyteczny. Przy szybkościach od około 600 mil na godzinę, wszyscy skrzydła odbija powietrze i równocześnie

nie nadaje mu, nieco ponad swą prędkość, większą szybkość. Ta nadwyżka szybkości zwiększa w tym miejscu prędkość opływu do prędkości rozchodzenia się głosu, po czym powietrze ucieka gwałtownie góra, co powoduje nagłą falę wstrząsów. Czasem powietrze przepływa połowę szerokości skrzydła, zanim się oderwie, czasem natomiast ucieka prawie natychmiast.

Można obserwować tę grę zmiennych sił w dół i w górę, która nie pozwala samolotowi ustalić się.

Tyle wiadomo; lecz jeszcze więcej nie wiadomo i żeby wypełnić te luki, podjęto doświadczenia w Kornwalii. Ministerstwo Zaopatrzenia zamówiło pewną ilość samolotów-modeli, o rozpiętości skrzydeł około 8 stóp, poruszanych napędem rakietowym, zbliżonym

do napędu V 2. Te modele będą oblatane z szybkością większą od szybkości rozchodzenia się głosu i to nie w tunelach aerodynamicznych, lecz na wolnym powietrzu.

Będą one wyholowane na linie na wysokość 36.000 stóp przez samolot Moskito, który następnie nabierze dużej szybkości — bo około 400 mil na godzinę — po czym odczepi model. Ten będzie opadał około 1.000 stóp; jego rakietowy motor zastartuje i nada mu szybkość około 900 mil na godzinę. W ten sposób model będzie leciał prosto i poziomo pod kontrolą automatycznego pilota przez 70 sekund, po czym motor stanie, a model spłynie do morza, gdzie utonie.

Jak więc będzie można wyzyskać doświadczenia, jeżeli nie ma tam pilota, który by obserwował wskaźniki i inne instrumenty? Odpowiedź jest prosta: radar będzie nadawał na ziemię wszelkie możliwe informacje o tym, co się z modelem dzieje. Istnieje specjalne zastosowanie nadajnika radarowego, znane pod nazwą „telemetr“, który będzie nadawał wykresy ciśnienia, szybkości, dane dotyczące opływu powietrza itp. do stacji odbiorczych, w których czuwać będą uczeni.

Nikt nie wie, jaki będzie wynik tych doświadczeń.

Może skrzydła modeli wytrzymają tę szybkość, może nie. Jeżeli nie, to złamane skrzydła lub inna jakaś część musi być tak długo wypróbowywana, aż znajdzie się właściwe rozwiązanie. Wtedy rozpocznie się długi okres starannego opracowywania rezultatów i danych, o falach zakłóceń i o opływie powietrza.

Zajmie to mniej więcej rok czasu, a cała masa modeli pogrąży się w morzu, zanim naukowcy będą mogli być zadowoleni z wyniku swoich prac. Każdy napewno zdaje sobie sprawę z wagi tych doświadczeń, albowiem jak długo nie zostaną one ukończone, tak długo nie może być mowy o jakimś poważniejszym postępie w rozwoju lotnictwa przy bardzo dużych szybkościach. Właściwie doszliśmy do granicy, której nie przekroczymy, zanim te problemy nie zostaną rozwiązane.

Wszystkie teorie o kształcie samolotu przyszłości i wszystkie matematyczne przewidywania o tym, co się będzie działo przy szybkości 1.000 mil na godzinę, będą teraz poddane praktycznemu egzaminowi.

Jeżeli marzymy o tym, aby podróżować w swym życiu z szybkością 1.000 mil na godzinę, to właściwie doświadczenia w Kornwalii nam to umożliwią.

(„The Listener“)

Władysław Karwiński

Tel-Aviv —

palestyńska Gdynia

Nad brzegiem morza Śródziemnego, około czysto arabskiego miasta Jaffy, Żydzi zaraz po wojnie światowej, dzięki poparciu angielskiego generała Allena, i ogromnych z całego świata zebranych kapitałów żydowskich, zbudowali przesłone nowożytnie miasto Tel-Aviv, drugą po Jerozolimie stolicę Palestyny, oddaloną od niej o niecałe dwie godziny jazdy autobusem.

Z domami białymi, dwupiętrowymi, szerokimi ulicami, z ogromną plażą nie ustępującą Ostendzie lub Nicei, gdzie całe roje pierwszorzędnych hoteli, kawiarni, restauracji, dancinów, rywalizują z plażami europejskimi, — jest Tel-Aviv wspaniałym komfortowym miastem.

Rzeczywiście, gdy się widzi to miasto czyste, wygodne, piękne, główną ulicę Allembi, na cześć generała Allena, gdy się napotyka wszędzie ład, porządek, wspaniałe sklepy, pełne wszelkich towarów, banki biura itp., to trzeba oddać sprawiedliwość i stwierdzić, że nie przesadzaliśmy i nie krepowaliśmy zakazami Żydzi dowiedli tutaj jasno, że mogą i umieją organizować się i rządzić.

Mnóstwo fabryk z największą tekstylną fabryką „Łódź“ na pamięć Łodzi na czele, w okolicach Tel-Avivu, lub w samym mieście funkcjonuje sprawnie.

Wyroby włókiennicze są tam lepsze i tańsze niż u nas.

Potężne elektroturbiny dostarczają pod

dostatkiem „białego węgla“, toteż miasto oświetlone jest nie gorzej, niż był oświetlony przed wojną Paryż, stąd zwany również „la ville lumineuse“. Żydzi obchodzą tutaj skrupulatnie i dokładnie swoje święta i podczas szabasu, tj. od piątku wieczorem do soboty wieczorem, miasto jest wymarłe i wszystko pozamykane.

Publiczność ubrana dostatnio, wesoła, swobodna, życzliwa dla cudzoziemców, składająca się przeważnie z uchodźców Żydów z Niemiec, Rosji i Polski, nadaje temu miastu charakter międzynarodowy; słyszy się po najbardziej rozpowszechnionej hebrajskiej mowie języki niemiecki i polski. Prawie we wszystkich sklepach rozmawiało po polsku i rozumieł mnie wybornie.

Liczne kina, wyświetlające najnowsze „szlagiery“, opera wcale nieźła, urozmaicają życie kulturalne. Jest również konserwatorium.

Okoliczne osady żydowskie gdzie na prawach gminy, obejmującej także kolony, dzielnie pracują leźni osadnicy — farmerzy, hodując owoce i jarzyny, są bardzo liczne, dobrze zagospodarowane i zasobne i koncentrują swoje interesy w Tel-Avivie.

W ogóle życie Żydów tam osiadłych wro i kipi intensywnie.

Zarobki robotników dostateczne. Dzięki jadłodajniom o popularnych cenach, ludzie pracy mają możność żyć według swoich dochodów i głodu nie ma nigdy.

Owoców i jarzyn pod dostatkiem, oprócz kartofli, sprowadzanych z Egiptu, miasa i drobiu wielki wybór, wina i wódki pierwszorzędne, dwa browary fabrykujące doskonałe piwo, liczne zakłady wyrabiające wody mineralne lub lody, pozwalają orzeźwiać się i ugasić pragnienie nawet podczas upałów, które — trzeba przyznać — są tu b. silne.

Na ogół jest w Tel-Avivie dużo goręcej niż w Jerozolimie i nawet wiatr od morza oraz kąpiele morskie, nie mogą ochłodzić w letnich miesiącach zmory upałów.

Szczególnie, gdy wieje wiatr od pustyni tak zwany „hamsun“, który często trwa od 3—5 dni, atmosfera jest piekielna i zwykle w te dni tylko autochtoni wychodzą na ulicę. Polacy uchodźcy, których jest tu kilkuset, leżą wtedy na swych łóżkach i ocierając pot obficie spływający, oczekują z upragnieniem, kiedy się „hamsun“ skończy.

Mamy tam oddział Delegatury Konsula Generalnego p. Loca, świetlicę, bibliotekę, dom P. K. O., ośrodek zdrowia, stołówkę. W ogóle życie uchodźców jest lepiej zorganizowane niż w Jerozolimie.

Gazeta przyszłości

Dzisiaj, w epoce rekordów, tempa, radia i bomby atomowej, nie myśli się przeważnie o znaczeniu, jakie dla rozwoju techniki posiadały czasy Odrodzenia. A przecież Odrodzenie wiąże się nie tylko z rozwojem sztuki; w owym czasie uniwersalny duch Leonarda da Vinci przyczynił się do zwycięstwa naukowego rozumowania, w owym czasie Kolumb odkrył Amerykę i położył kres antycznym pojęciom z zakresu geografii, zaś Gutenberg obdarował ludzkość sztuką drukarską, dokonując wynalazku najdoskonalszego ze wszystkich, umożliwiającego szerzenie wiedzy i nauki wśród najszerzych mas. Czasy Odrodzenia zbudowały fundament, na którym mógł się oprzeć wspaniały rozwój kultury w wiekach następnych.

Przypadający na połowę XV wieku wynalazek druku tym się wyróżnia w gromadzie innych, wiekopomnych wynalazków, że obejmuje wszystkie działy drukarstwa, a więc odlewanie czcionek, składanie ich i wreszcie samo drukowanie. Znaczenie tego faktu podkreślają następne wieki aż nadto dobitnie: oto na przestrzeni 350 lat sztuka drukarska nie zmieniła się prawie wcale i czynność drukowania odbywa się ciągle według recepty Gutenberga. Dopiero w początku XIX wieku, po wynalezieniu maszyny parowej, następuje nowy etap w dziejach drukarstwa. Niemcy ustępują przodującemu miejsca Anglikom. W 1814 roku londyński „Times“ drukuje się po raz pierwszy na maszynach poruszanych siłą pary. Na kontynencie pierwsza tego rodzaju, nowoczesna maszyna drukarska pojawia się dopiero w roku 1893.

Po maszynach drukarskich pojawiają się niebawem nowości w innych działach omawianej sztuki, a więc stereotypia, tyglówka i wreszcie maszyna rotacyjna. Ta ostatnia znów w londyńskim „Timesie“. Oczywiście dzisiaj, kiedy nowoczesna maszyna rotacyjna może dać w godzinie 100 tysięcy egzemplarzy gotowej do ekspedycji gazety o dowolnej objętości, patrzymy z politowaniem na pierwsze, proste, czterostronicowe maszyny gazetowe, ale owa pierwsza rotacja „Timesa“ była w owym czasie rewelacją i stanowiła niewątpliwie punkt zwrotny w dziejach prasy.

Na wiek XIX przypada również ogromny postęp w fabrykacji papieru. Gigantyczne rozmiary dzisiejszej akcji wydawniczej świat zawdzięcza — wyprodukowanej w 1863 roku po raz pierwszy w Ameryce — celulozie.

Po wynalezieniu telegrafu bez drutu w początkach bieżącego stulecia i przy wspaniałym rozwoju radiofonii w ostatnim dwudziestopięcioleciu, wystąpiło na arenę obok gazety, jako czynnik informacyjny — radio.

Tymczasem Ameryka sygnalizuje nowe możliwości. Zapowiadają nowość, stanowiącą niejako syntezę dzisiejszego drukarstwa gazetowego i radiotechniki, nowość, która niewątpliwie dokona przewrotu w dziedzinie wydawnictwa prasowego. Tak zwana fototelegrafia umożliwia przenoszenie za pośrednictwem przewodu (telegraf) lub też bez przewodu (radio), obrazu albo rysunku ze stacji nadawczej na odległość teoretycznie dowolną. W ten sposób obraz całej gazety może być rozsyłany przez radio i utrwalony w dowolnej miejscowości odbiorczej na taśmie papieru przy zastosowaniu specjalnej aparatury. Metodę rozsyłania przez radio zadrukowanych stron gazety nazwano „facsimile“ i stanowi ona analogicznie do telewizji w dziedzinie radiofonii, uzupełnienie wydawnictwa prasowego.

Pierwsze doświadczenia z „facsimile“ robiono w Stanach Zjednoczonych już w 1928 r., a dzisiejszy stan doświadczeń umożliwia przesyłanie 800 słów na minutę, względnie zdjęcia, zajmującego miejsca 800 wydrukowanych wyrazów. Specjaliści zapowiadają, że niebawem „facsimile“ będzie już całkowicie udoskonalone. Odpowiedni aparat odbiorczy został już całkowicie skonstruowany. Posiada on rozmiary zwykłej maszyny do pisania i dołącza się go do zwykłego odbiornika radiowego. W Stanach Zjednoczonych taki odbiorczy aparat facsimilowy kosztuje dziś 50 dolarów.

Metoda ta — jeśli w ostatnim etapie udoskonalania nie natrafi się na nieprzewidziane trudności — przyniesie ogromne oszczędności w produkcji gazet i w kolportażu. Właściwa prasa redakcyjna i drukarska będzie prowadzona nadal, lecz niepotrzebne wówczas będą kosztowne maszyny rotacyjne, odpadną też olbrzymie wydatki, jakie pochłania ekspedycja i kolportaż prasy. Z drugiej strony — przynajmniej do czasu należytego rozpowszechnienia tego typu gazety — wydawnictwo będzie musiało zaopatrywać abonenta w odbiornik facsimilowy.

Dzienniki nie musiałyby — rzecz jasna — posiadać własnych nadawczych radiostacji, ale mogłyby korzystać z istniejących, wynajmując za opłatą na czas potrzebny do przekazania gazety abonentom. Ponieważ jest możliwość wyłączenia odbiorników nastawionych na odpowiednią falę, przeto gazeta będzie mogła być nadawana w nocy, pod nieobecność abonenta, który po powrocie znajdzie ją gotową na swoim odbiorniku. Są jeszcze inne możliwości. Tak zwana metoda multipleksowa umożliwia jednocześnie nadawanie z tego samego aparatu nadawczego dźwięków i tek-

stów „facsimile“. Jeszcze więc nieco ulepszeń, a radiostacje będą mogły o każdej porze nadawać wiadomości tej nowożytnej gazety, nie przerywając wcale swych normalnych audycji. W Stanach Zjednoczonych liczą na duże ożywienie akcji prasowej przy zastosowaniu tej nowej metody. Koszty założenia wydawnictwa są bardzo wysokie, wymagają wielkich inwestycji w maszynach drukarskich. Wprowadzenie gazety facsimilowej ogromnie zmniejszy wydatki inwestycyjne wydawnictwa, oczywiście pod warunkiem, że otrzyma się przydział radiostacji nadawczej z pożądaną długością fali. W Stanach Zjednoczonych pracuje dziś 1000 nadawczych stacji radiofonicznych, a projektuje się utworzenie 3500 nowych stacji przez wprowadzenie nowego rodzaju transmisji, określonej jako modulacja frekwencji, pracującej na ultrakrótkich falach, niżej 10 m długości. Te właśnie stacje na-

dawcze mają służyć wyłącznie emisjom facsimilowym.

Rzecz oczywista, bezdrutowy kolportaż gazet, który tutaj tylko sygnalizujemy pokrótce, musi się liczyć jeszcze z niemałymi trudnościami. Przypomnijmy sobie, jak prymitywne były nasze odbiorniki radiowe jeszcze przed 25 laty. Ale też nie zapominajmy, jak szybko przyszedł ulepszenia i udoskonalenia. Nadto, co najważniejsze: Europa jest zniszczona i zubożała; przeprowadzanie przewrotu wydawniczo-prasowego niewątpliwie nie jest najpilniejszym zadaniem Europejczyków, którzy pewnie jeszcze długo będą musieli się zadowalać gazetą „starego typu“. Inaczej w Ameryce, gdzie istnieją wszelkie warunki techniczne i materialne, aby nowy wynalazek znalazł praktyczne zastosowanie. Ameryka rychło zdystansuje kontynent Gutenberga także w dziedzinie wydawniczo-prasowej.

H. C.

Ciekawy dokument polskości rzemiosła na Śląsku w XIX wieku

W zbiorach Śląskiej Izby Rzemieślniczej w Katowicach znajduje się niezwykle charakterystyczny dokument, świadczący dobitnie o polskości rzemiosła w miastach śląskich i o żywych więzach mieszczaństwa śląskiego z ogólnonarodowym ruchem patriotycznym w Polsce w XIX wieku.

Dokumentem tym jest wierszowany dyplom z daty: Mikołów, dnia 15 stycznia 1884 r., ofiarowany przez kolegów

cechowych cechmistrzowi rzeźnickiemu Augustowi Pifce (Pifko) na 25-letnią rocznicę sprawowania urzędu. Dyplom ten wykonała drukarnia Juliana Nowackiego w Mikołowie na ozdobnym, trwałym papierze, zaopatrzonym w cechowe znaki rzeźnickie, jak głowę byka, topory i noże rzeźnickie.

Podajemy tu dosłowną treść tego ciekawego dokumentu.

NA 25-LETNIA ROCZNICĘ URZĘDU SWOJEGO NASZEMU CZCIGODNEMU PANU CECHMISTRZOWI AUGUSTOWI PIFKO

Mikołów, dnia 15 stycznia 1884.

Melodia: Boże, coś Polskę itd.

W naszym miasteczku zwanem Mikołowie,

Jeszcze nie było, to niech każdy powie.

Dwadzieścia pięć lat, kto to dożył,

Urząd Cechmistrza, tak długo prowadził.

Ktoby to myślał, że w piwnicy taki,

Gdzie ludzie zjadają polewki i flaki,

Których to on tak dobrze traktuje,

Że im to lepiej jak piwo smakuje.

On się też za to okropnie wynosi,

Żadnego z nas tu na piwo nie prosi,

Jedzie krupnioki, i także kielbasy,

Gdyż na masarzy są niedobre czasy.

Jest też to prawda boć same trychiny

Każdego z nas tu obierzą bez winy,

A myśmy przy tym wszyscy są tak zdrowi,

Że nawet w kapsie dziura się wyrobi.

Ej, cóż tam mamy frasować się wielce,

Przecież ten hrobok raz na świecie zdechnie,

Mark jest okrągły, trychin długowaty,

Jak on raz zdechnie będą lepsze czasy.

Prześlanmy już też o tem wszystkim śpiewać,

Dziś nam potrzeba i głową pokiwać,

Jak to nasz Cechmistrz nam się wszystkim dziwa,

Boć tu ogląda swego żniwa.

Augustyn Cechmistrz, Żonka Katarzyna,

Pochwały godną nie jak wszelka inna,

Lat pięćdziesiątka wespół się trudniła,

Każdą szklaneczkę dla cechu czyściła.

Więc za Ich zabiegi także wszelkie trudy,

Wiwat wołajmy bez wszelkiej obłudy,

Bóg go niech chowa naszego Cechmistrza,

Żeby On pożył jeszcze i lat trzysta.

Wiwat niech żyje!

Drukiem Jul. Nowackiego w Mikołowie.

Częstochowskie rymy wskazują na to, że „poeta“ wywodził się z grona koledgów cechmistrza Pifki, odczuwał na ciężką sytuację swego fachu. Charakterystycznym faktem jest, że wiersz poety-bykobójcy śpiewał jego koledzy na

uczcie jubileuszowej na przepisana z góry przez autora melodię pieśni „Boże, coś Polskę...“ Świadczy to o tym, że polska pieśń patriotyczna wśród rzemieślników śląskich była znana i kultywowana. (K)

Przeczytajcie dzieciom...

JANINA WAZŁOWA

List

„Kochana pani Zimo!“

piśły wróbelki

na puszystym śniegu —

lodowym sopelkiem.

„Kochana... — choć nie bardzo,

ale trudna rada..

Słyszaliśmy, że w listach

tak pisać wypada,

Prószysz gesto śniegiem,

zakryłaś nam słońce —

i mróz sprowadziłaś

i wichry wyjące,

lecz Ciebie samej nigdzie

spotkać nie możemy,

ni z Tobą porozmawiać..

Dlatego list piszemy.

Wysłuchaj naszej prośby,

wysłuchaj Zimo sroga

i nie syp tyle śniegu

na wróbelkowych drogach!

Pod śniegiem trudno znaleźć

ziarneczko czy okruchy,

— a przecież teraz nie ma

robaka, ani muchy.. —

Gdyby nie to, że ludzie

czasami nam pomogą —

przez Ciebie pani Zimo,

zginęłybyśmy z głodu..

Jeżeli już koniecznie

musiałaś do nas przybyć,

to płaszkom nie dokuczaj —

uprzejmie Cię prosimy!“

Taki list napisały

złodniate wróbelki —

na puszystym śniegu

lodowym sopelkiem..

A zima odpisała

dwa wiersze krótkie, proste:

„Wysłucham Waszej prośby

wysłucham, lecz... na wiosnę!“

Władysława Paszkowska

Dzieci i miś

Niosą dzieci drzewo z lasu,

suszą na podpałki,

narzierały suszek dużo,

dwie wielkie kociatki.

Cicho w lesie.. śnieżek pada,

coś pachnie tak słodko..!

Chodź, braciszku, zobaczymy!

Już biegnie, Dorotko!

Idzie wrona z wroniętami,

pełny koszyk niesie:

Dobrze radzę wracać z nami,

zmierzch zapada w lesie!

Zabłądźcie tu, Franeczku!

Zmarzniecie, Dorotko!

— Proszę pani, co to w lesie

pachnie dziś tak słodko?

Idzie dzieciół z dzieciótkami

i choinkę niesie.

Dobrze radzę wracać z nami,

zmierzch zapada w lesie!

Sypie śnieżek, sypie biały,

już nie widać dróżki..

Mnie, braciszku, zimno w nosek..

Mnie siostrzyczko, w uszki...!

Puk puk, kto tam? To my dzieci!

ach, jak straszno w borze..

Niech Pan Niedźwiedź się nie gniewa,

i nas wpuści może?

Siedzą dzieci w miłym domku.

Franeczek z Dorotką,

jedzą duże dwa pierniki:

ach, jak pachną słodko!

JANINA WAZŁOWA

Spełnione marzenie

Ruch, gwar, trud ludzki —
radosny, choć ciężki,
stukają młoty i pieśń rozbrzmiewa...
To górnik dionią
mocną, zwycięską —
żelazną rudę — skalom wydzierła!

Ujrzała ruda promienne słońce,
księżyc i gwiazdy — i... posmutniała:
„Dlaczego wszystko takie błyszczące,
a tylko — ja jestem szara?
Ach, gdybym mogła tak samo błyszczeć
jak to słońce, jak księżyc jasny,
jak rannej rosy krople srebrzyste,
albo jak złote gwiazdy...“

Usłyszał skargi hutniczy duszek
i szepcze cicho:
„Chcę błyszczeć jak one —
musisz czym prędzej w podróż wyruszyć
oto — czekają wagony!
One zawiozą nas do krainy
dziwnych pałaców.
A w tych pałacach —
strzeżonych wiernie przez las kominów
króluje Wysiłek i Praca...“

Ruszyła w drogę żelazna ruda,
w oczekiwaniu, że stanie się cud —
i pod opieką dobrego duszka,
przybyła wkrótce do krainy hut.

Tam przyjął ją godnie Wysiłek wraz
z Pracą,
a pieców hutniczych iskrzący się żar —
szarą, rdzawą rudę zamienił w żelazo
i w lśniącą jak gwiazdy stal...

WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA

Jak druty Dorotki o Warszawie pamiętały

Siedzi Dorotka nasza kochana,
przy oknie siedzi dzisiaj od rana.

Nasza Dorotka śmieje się, rada,
bo gęsty śnieżek za oknem pada.

Sypią się z nieba bielutkie puchy,
mają już drzewa ciepłe kożuchy!

Bzęk, zeskoczyły ze stołu druty:
„Pomyśl, Dorotko, czas taki luty!

Zima zła idzie i śniegiem miecie,
pomyśl, Dorotko, źle jest na świecie.

Warszawskie dzieci zziębłe biegają,
ciepłych sweterków, ubrań nie mają...

Zrób im, Dorotko, na drutach szalik:
dla Antka, Staszka, Jędrka i Hali!

Zrób i sukienki dla malej Zosi,
niechaj ją długo, wesoła, nosi.

Spiesz się, Dorotko nasza kochana,
bezcennie siedzisz dzisiaj od rana!“

JOZEF BARANOWSKI

Spotkanie z mrozem

Wybrał się mróz z rana
nad brzegi strumyka, —
witały go dzieci
w radosnych okrzykach.

— Witaj, panie Mrozie,
— Cóż ty nam uczynisz?
Sądziś, że z nas które
boi się dziś zimy?

Chociaż szpileczkami
klujeś nas po twarzy,
włchem dmuchniesz w oczy
Któż się tym przestraszy?

Ma z nas każdy szalik,
pończoszki wełniane,
Ciepły płaszczek, rękawiczki,
suto watowane.

A dokąd tak spieszysz?
— Na śnieżną przygodę, —
dla was na ślizgawkę
strumień pokrył lodem.

Lecz proszę pamiętać,
Że ja, Mróz, nikomu
nie wyrządzę krzywdy,
jeżeli do domu

Krótko nad wieczorem
pójdziecie przykładnie,
za to wam na oknach
wymaluję ładnie

śnieżki i różyczki.
A jeżeli które
z was mnie nie usłucha,
to oberwie w skórę.

Bo mnie trzeba słuchać,
ze mną nie ma żartów!
Z mrozem się pokłócić,
dzieciaki, nie warto!

Odkrzyknęły dzieci chórem:
— Zgoda, panie Mrozie!
I na tyłkach z pędem wichru
pomknęły po lodzie...

Więcej niż jedno dziecko

W ostatnich miesiącach zanotowano u nas kilkakrotnie niecodzienne wypadki wielokrotnego porodu. Na Śląsku, w Prudniku, przyszły na świat niedawno trojaczki, ten sam fakt miał miejsce przed miesiącem w powiecie pszczyńskim. **Rekord pobił jednak Myslibórz (Pomorze Zachodnie), w którym również niedawno urodziły się czworaczki, cztery dziewczynki.** Jedna z nich zmarła w krótkim czasie, mimo starannej opieki i zabiegów lekarskich. Było to najwęższe niemowlę z tej czwórki i od pierwszej chwili życie jego pozostawało wciąż pod znakiem zapytania.

Wszystkie cztery dziewczynki nie ważyły nawet 5 kg. Waga najcięższej wynosiła 1.400 gr, najlżejszej — 1.050 gr. Małe laleczki chowane są w specjalnych warunkach. Leżą w olbrzymim pudle ze szklanym wiekiem, w którym pościel spoczywa na zbiorniku wody, ogrzanej od spodu elektrycznością. Specjalny system kanałów wentylacyjnych zapewnia stały dopływ świeżego i ogrzanego powietrza. **Matką małaństwa jest Aleksandra Pieciewicz, repatriantka z Syberii.**

Porody mnogie należą do wypadków niesłychanie rzadkich. **Poród czworaczek, który był raz na 757 tys. narodzin, trojaczek — raz na 7.100.** Znacznie częściej spotykanym zjawiskiem są bliźnięta. Przypadają one raz na 87 porodów. Najwięcej rodzi się ich wśród Murzynów amerykańskich — 145 na 10 tys. narodzin, a najmniej w Japonii — 33 na tę samą liczbę.

Bliźnięta bywają dwójakiego rodzaju: **bratnie i identyczne.** Pierwsze nie wykazują specjalnego podobieństwa, poza cechami ogólnorodzinnymi. Natomiast identyczne posiadają podobieństwo trudne do odróżnienia, i co ciekawsze, zawsze są tej samej płci. Na 3 pary bliźniąt dwie są zawsze „bratnie”. Identyczne odróżnić można dzięki odciśnieniu palca. Zdarzył się jednak wypadek w Wiedniu, iż bliźniaczki identyczne, Elfyda i Augusta Sejvel, nie wykazywały absolutnie żadnej różnicy w układzie linii rąk. Odciski ich palców były we wszystkich szczegółach identyczne i stanowiły żywe zaprzeczenie grafologii, opierającej się na twierdzeniu, iż nie ma na świecie dwóch par rąk o biegnącym jednakowo wykreście linii. Charakter pisma bliźniąt jest natomiast przeważnie odmienny. Jeden z uczonych, Francis Galton stwierdził, iż na 85 par zbadanych przez siebie bliźniąt, tylko jedna pisała identycznie.

Niesłychanie rzadkie są również wypadki bliźniąt o wybitnych zdolnościach. Badania naukowe wyjaśniają, iż wzajemna zależność bliźniąt przekreśla talenty twórcze. Słynni badacze stratosfery, bracia Piccard, również bliźniacy, są szczęśliwym wyjątkiem w tej zasadzie.

Podobieństwo bliźniąt zaobserwować można również w całym szeregu innych reakcji życiowych. Ulegają one tym samym chorobom i to w tym samym czasie, nawet jeśli wychowują się każde oddzielnie. Zapalenie płuc, szkarlatyna, zapalenie ucha środkowego, psucie się tych samych zębów — to schorzenia przeżywane jednocześnie. Badania tych zjawisk wykazują, że są one wynikiem nie tylko okoliczności zewnętrznych, ale i odziedziczonych skłonności. Wybitny uczyony francuski, dr. Moreau, w książce swej „Psychologie Mordibet” podaje przypadek bliźniąt, wychowywanych oddzielnie, które cierpiały na manię prześladowczą. Miały te same halucynacje, te same ataki strachu przed tymi samymi urojenymi wrogami, choć nie kontaktowały się ze sobą i nie mogły przeszczerpieć wzajemnie psychicznych symptomów swej choroby.

Jeśli w wielu rodzinach bliźnięta, zwłaszcza w pierwszym okresie swego życia, są częstym źródłem kłopotów, udręki, to u ludów pierwotnych sprawa ta przedstawia się już niemal tragicznie, zarówno dla matki, jak jej małaństwa. W Liberii bliźnięta są zawsze mordowane, gdyż plemiona tamtejsze

nie wierzą, by jeden ojciec mógł dać życie dwojgu dzieciom na raz, kobieta więc musiała nie dochować mu wierności.

Inne szczepy uważają fakt narodzin bliźniąt za współdziałanie nieczystych sił. Dlatego też niektóre plemiona afrykańskie zabijają nie tylko dzieci, ale i ich matkę. U szczepów australijskich bliźnięta zostają rozdzielone i jedno z nich jest oddawane na wychowanie innej

rodzinie. We wschodniej Afryce matka bliźniąt poddana jest zawsze zabiegom religijnym czarowników. Odprawiają oni nad nią specjalne egzorcyzmy i zopatrują w róg, noszony przez kobietę na szyi dla obrony przed złem. Musi więc zawsze trąbić, gdy spotka na drodze grupę ludzi, zobaczy jastrzębia, lub gdy przechodzi przez rzekę...

W Rosji urodziły się swego czasu bliźnięta siamskie (nazwa pochodzi od

sióstr bliźniaczek, zrosniętych ze sobą, urodzonych w Siamie, pierwszych które żyły przez dłuższy czas, dwie dziewczynki. Miały one jeden tułów, dwie głowy, dwie nogi i cztery ręce. Żyły rok i 22 dni. Odznaczały się odmiennymi usposobieniami. Jedna była spokojna, druga niesłychanie nerwowa. Posiadały wspólny obieg krwionośny i dwa niezależne systemy nerwowe. Każda syiała o innej porze dnia i nocy. One to

posłużyły do sprawdzenia teorii słynnego uczonego rosyjskiego Pawłowa, że sen jest wynikiem i koniecznością systemu nerwowego, a nie skutkiem ujemnym składników krwi.

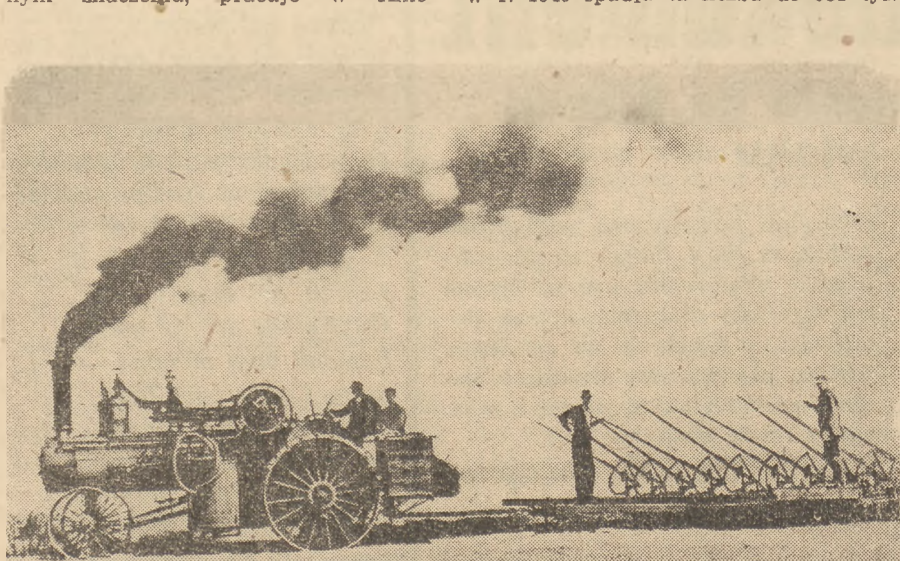
W Rosji sowieckiej powstał Instytut Bliźniaków, dla naukowego zbadania tego w pewnym sensie wybruku natury. W Ameryce istnieje Narodowe Stowarzyszenie Bliźniaków, odbywające rokrocznie swoje zjazdy. (h.m.)

Stanisław Kantor

Przewroty w rolnictwie Ameryki

Najciekawszym zjawiskiem w rolnictwie amerykańskim, które w okresie ostatnich lat zdało egzamin celująco, karząc w czasie wojny i po jej zakończeniu milionowe armie własne i sprzymierzone, wygłodzoną Europę świat cały, są niesłychanie ważne przemiany strukturalne. Na chleb, w dosłownym znaczeniu, pracuje w Ame-

ryce coraz to mniej ludzi. Procent ludności wiejskiej w U. S. A. zmniejsza się z roku na rok. B. wiceprezydent Stanów Zjedn. i b. minister handlu, Henry A. Wallace, pisze w jednej ze swych książek, że w roku 1789 musiało żyć na farmach 19 osób, by móc się wyżywić i wyprodukować dostateczną ilość żywności dla siebie i tylko jednej osoby w nieście. Dziś te same 19 osób ze wsi dostarcza żywności dla 66 mieszkańców miasta. Jeszcze w 1910 r. było na farmach 35 proc. ogółu ludności, podczas gdy obecnie karmi Stany i pół świata jedynie 18 proc. ogółu ludności amerykańskiej. W czasie wojny ubito ze wsi amerykańskiej na rzecz armii oraz przemysłu wojennego i miast 5 milionów ludzi i jakoś zbytnio braku robotnika wieś nie odczuwa.



Lokomobila okazuje się mimo dzisiejszej motoryzacji oszczędniejsza. Tak twierdzi wielu farmerów amerykańskich, którzy używają wyprodukowanych przed 25 laty lokomobili o napędzie parowym i sile około 100 koni mechan. do orki.

ryce coraz to mniej ludzi. Procent ludności wiejskiej w U. S. A. zmniejsza się z roku na rok. B. wiceprezydent Stanów Zjedn. i b. minister handlu, Henry A. Wallace, pisze w jednej ze swych książek, że w roku 1789 musiało żyć na farmach 19 osób, by móc się wyżywić i wyprodukować dostateczną ilość żywności dla siebie i tylko jednej osoby w nieście. Dziś te same 19 osób ze wsi dostarcza żywności dla 66 mieszkańców miasta. Jeszcze w 1910 r. było na farmach 35 proc. ogółu ludności, podczas gdy obecnie karmi Stany i pół świata jedynie 18 proc. ogółu ludności amerykańskiej. W czasie wojny ubito ze wsi amerykańskiej na rzecz armii oraz przemysłu wojennego i miast 5 milionów ludzi i jakoś zbytnio braku robotnika wieś nie odczuwa.

MECHANIZACJA ROLNICTWA

Powodem tego stanu jest daleko posunięta mechanizacja rolnictwa. Drogą pracy zmuszała farmera do zastępowania siły ludzkiej tańszą siłą maszyn. Poza tym Amerykanie nie lubią ani czarnej roboty i wola, by ją wykonywali niewolnicy w postaci różnych koni parowych, czy elektrycznych. Wola pracować głową, a nie mięśniami.

Wynalazek żniwiarki Mac Cornicka umożliwił Stanom i Kanadzie stanie

Za to 211 tys. farmerów ma 145 tys. traktorów. Na farmę przypada 15 koni mechanicznych. W całych Stanach pracuje z górą 2 miliony traktorów rolniczych.

Na rynkach maszynowych ukazują się maszyny do zbioru buraków cukrowych, kopaczki do ziemniaków, które równocześnie ładują je do worków, jakieś wymyślne maszyny do zbioru siarna. Prawdziwą rewolucję może wywołać maszyna do zbioru bawełny, mogąca zastąpić 70 robotników. Maszyna ta niezawodnie przyczyni się do nowych wędrowek ludów, a zwłaszcza Murzynów z południowych Stanów do północnych, wschodnich czy zachodnich. Joe Kutzera, podobno Polak z pochodzenia, skonstruował maszynę do rozrzucania nawozu stajennego po polach.

Elektryfikacja na farmach amerykańskich odbywa się szybko. Z górą 50% farm ma już elektryczność dostarczającą im siły, światła, ciepła i zimna. Farmer ma motory, chłodnie, żelazka do prasowania, pralnie elektryczne, radio, sztuczne wylęgarnie drobiu, dżarki elektryczne. Demobilizacja armii dostarcza rolnictwu dużych zapasów motorów i maszyn, które można przystosować do pracy w rolnictwie. Auto wojskowe t. zw. „Jeep” znajduje wszechstronne zastosowanie w życiu cywilnym rolników. Nawet potworny buldożer, — maszyna do usuwania gruzów i budowy lotnisk oraz dróg — znalazł zastosowanie w rolnictwie. „Country Gentleman”, podawał, że jakiś zdemobilizowany żołnierz kupił taką maszynę za 8 tys. dolarów i najmuje się z nią do różnych robót ziemnych, drenarskich, budowania skarp w okolicach górzystych, oczyszczania rowów, pastwisk z krzaków, budowy tam i stawów rybnych oraz wszelkich robót, które wymagają przerzucania dużych ilości ziemi. Specjalne spółdzielnie farmerskie również zakupują „buldożery” do tych samych celów. Warto zaznaczyć, że farmerzy amerykańscy coraz częściej korzystają ze stałych, sezonowych usług różnych przedsiębiorców, dysponujących specjalnymi maszynami lub też zakładają spółdzielnie maszynowe. Zdarzają się wypadki, że farmer zamawia przedsiębiorcę do orki czy żniw.

Ubytek ludności rolniczej nie wpływa na obniżenie kultury rolnictwa. W okresie między dwiema wojnami światowymi wytworczyła rolna Ameryki podwoiła się. Urzędowe dane wskazują, że krowy dają więcej mleka, kury znoszą więcej jaj, świnię, karmione przy pomocy naukowych metod, porastają szybciej w mięso i tłuszcz. W siołach

magazynuje się i konserwuje się coraz to lepsze zielone pasze i trawy.

Nowe odmiany roślin ukazują się na polach. Soja w gospodarce amerykańskiej odgrywa pierwszorzędą rolę, jako roślina wszechstronnego użytku, zawierająca dużo tłuszczu i modnej dziś proteiny. Entuzjastą soi jest Ford, który stosuje ją do różnych mas plastycznych, lakierów i wyrobu różnych części samochodowych.

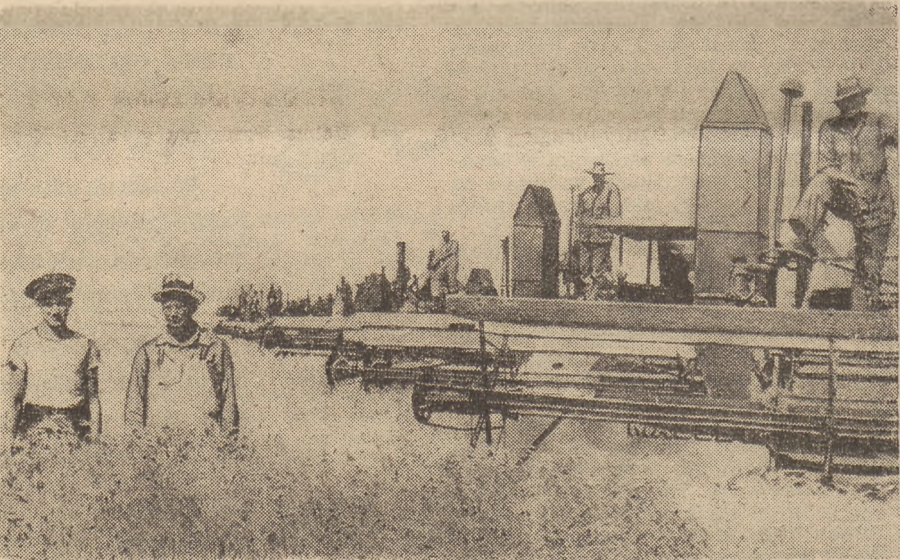
NOWA ODMIANA KUKURYDZY

Prawdziwą rewelację w rolnictwie amerykańskim spowodowała kukurydza, a w szczególności nowa jej odmiana i krzyżówka t. zw. „Hybryd Corn”. Wartość zbiorów kukurydzy przekracza łączną wartość zbiorów bawełny, pszenicy i owsa. W ciągu 10 lat prawie wszyscy farmerzy w 98 proc. przeszli na tę krzyżówkę. Odmiana ta ma dwa razy więcej proteiny i trzy razy więcej oleju, aniżeli zwyczajna kukurydza. Jeden z pierwszych hodowców tej krzyżówki zarobił w czasie 4-ch lat grube miliony na sprzedaży ziarna na zasiew. Wspomniany już b. wiceprezydent Stanów Wallace dzięki tej krzyżówce stał się zamożnym człowiekiem. Ziarno to jest używane na żywność i paszę a poza tym ma zastosowanie w 30 różnych prze-

PRZYSPOSOBIE NIE ROLNE WYNAZAKIEM AMERYKAŃSKIM

O to, by głowa farmera amerykańskiego nie była pustą, troszczyć się liczne znakomicie uposażone szkoły i kolegia niższego i wyższego typu. Znałe w Polsce przysposobienie rolnicze młodzieży i dorosłych jest wynalazkiem amerykańskim. Olbrzymia masa gazet, książek, broszur, wystaw rolniczych, odczytów, radio i kino, ciągły kontakt farmera z instruktorami rolnymi, instytucjami badawczymi, uczelniami i związkami zawodowymi — to zjawisko stałe.

Już dziś Amerykanie martwią się o przyszłą koniunkturę dla rolnictwa. Znały pisarz gospodarczy, Babcock, załamuje ręce, że rynek amerykański dla żywności jest ograniczony. Martwi go, że przeciętny żoładek człowieka może pomieścić jedynie 40 uncji. Mnoży 140 milionów ludzi przez 3 posiłki dziennie, 365 dni w roku i przez 40 uncji. Suma ta jest zbyt małą na zdolność produkcyjną rolnictwa amerykańskiego. Przychodzi więc do przekonania, że Amerykanie muszą jeść lepiej i drożej. Tworzy nawet szereg jadłospisów. Taki jadłospis na obiad niedzielny przewiduje sok jabłkowy, pieczeń wołową, maślane kanapki (brocoli), maszczone ziemniaki, ogórki i marchew, chleb peł-



Stany Zjednoczone są znanym producentem pszenicy. Na zdjęciu Morris Jensen (drugi od lewej) ze stanu Nebraska, zwany „królem pszenicy”. Na swych posiadłościach zebrał on w ub. roku 3500 ton pszenicy

myślach, jak wyrobie bawełniaków, stali, środków wybuchowych, krochmalu. Robi się z niego dekstryny, kleje, tapiokę, cukierki, penicylinę, witaminy „C” i cały szereg lekarstw i artykułów przemysłowych. Łodzy używane są do wyrobu papieru i tapet, kaczany do wyrobu gazoliny i mas plastycznych. Poza tym odgrywa krzyżówka dużą rolę w przemyśle alkoholowym, syntetycznej gumy, nie tlącego się szkła itd. Aztecy słusznie twierdzili, że ziarno to jest darem bogów.

KUDZU — ROŚLINA JAPOŃSKIEGO POCHODZENIA

W czasopiśmie „Country Book Magazine” czytamy o nowym cudzie rolniczym, roślinie japońskiego pochodzenia, Kudzu, rodzaju winnej latorośli, która niesłychanie szybko przyjęła się w południowych Stanach. Dostarcza ona olbrzymich ilości paszy dla bydła (3 i 1/4 tony z akra) i przyczynia się znakomicie do konserwacji gleby. Jeden z farmerów z Atlanty chwali się, że osiągnął wspaniałe wyniki nieśności jaj u drobiu, karmionego na kudzu. Są już doświadczenia przystosowania tej rośliny także do karmienia ludzi. Powstają specjalne kluby kudzu. W ciągu kilku lat obszar, zajęty pod kulturę kudzu doszedł do 8 milionów akrów.

Rolnictwo amerykańskie miało w swej przeszłości dużo grzechów. Rabunkowa gospodarka leśna spowodowała niszczenie gleby. Obecne plany powojenne uporządkowania stosunków leśnych i konserwacji gleby, budowa tam na rzekach zapobiegają dalszym szkodom.

noziarnisty, masło, lody, ciastka, kawa i mleko.

Czy to jednak też nie uchroni rolnictwa amerykańskiego przed grożącym kryzysem nadprodukcji — to pytanie, na które odpowiedzą biegające szybko naprzód lata.



Kostium narciarski, zaprojektowany przez jeden ze znanych paryskich domów mody. Bluzy zapinane na zamki błyskawiczne, wraz z kapuzą, zyskuje coraz większe powodzenie

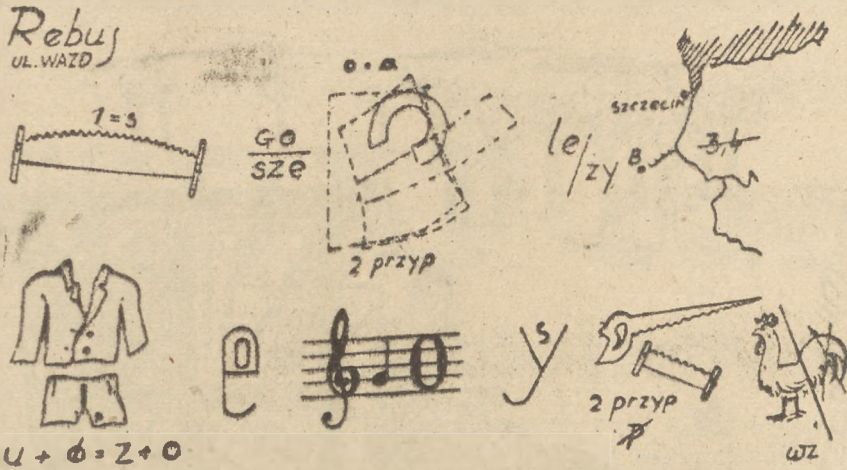


Pastor miasteczka Welling w Kent (Anglia) jest gorącym zwolennikiem nowoczesnych metod produkcji masowej. W jednym dniu ochrzcił on od razu 19 niemowląt. Na zdjęciu angielski pastor w towarzystwie nowo ochrzczonych

Rozrywki umysłowe



1. REBUS (ul. Wazd)



2. KTO SZYBSZY? (ul. J. Garus)

Rano o godz. 8 wyjeżdża z Gdyni do Krakowa samochód osobowy z szybkością 110 km/godz. Dwie godziny później, tj. o 10 wyjeżdża z Krakowa do Gdyni ciężarówka, która rozwija przeciętną szybkość 50 km/godz. Odległość między Krakowem i Gdynią wynosi 700 km. W pewnym czasie samochody spotykają się. Który z tych samochodów będzie wtedy bardziej oddalony od Krakowa, czy ten, który jedzie do Krakowa lub ten drugi?

3. PODZIAŁ JABŁEK

Sześciu chłopców dzieli się 24 jabłkami. Jeden nie otrzymał tej samej ilości. Antek dostał 2 razy tyle co Bolek. Czesiek i Danek mają w sumie tyle, co Edek. Jeden z nich nie dostał czterech jabłek. Ile dostał Fred?

4. AKROSTYCH LITERACKI (ul. T. G.)

Z liter cytatu utworzono słowa A—U. Należy te słowa znaleźć stosownie do znaczeń i wpisać do figury pierwszej. W ten sposób dowiemy się, jakim literom odpowiadają numery 1—92, z których te słowa zostały utworzone. Znalezione litery według ich numerów należy wstawić do figury drugiej, z której odczyta się cyt. Kłóce słów w figurze drugiej zaznaczone są polami czarnymi, lub znakami przestankowymi. Pierwsze litery słów A—U w figurze pierwszej dadzą imię, nazwisko autora i tytuł dzieła, z którego jest wzięty cyt. W rozwiązaniu podać: autora, tytuł i cyt.

Kłóce słów w figurze drugiej zaznaczone są polami czarnymi, lub znakami przestankowymi. Pierwsze litery słów A—U w figurze pierwszej dadzą imię, nazwisko autora i tytuł dzieła, z którego jest wzięty cyt. W rozwiązaniu podać: autora, tytuł i cyt.

- Biogi stan
- Zdrowe, mocne zrównoważenie wydatków (2 słowa)
- C₂H₂
- Słynny piosenkarz polski
- Zebys ty...
- Napełnić powietrzem lub gazem
- Kraj w delcie Wisły
- Pseudonim A. Asnyka
- Styl w budownictwie
- Należycie opłatę za przewóz przez granicę
- Bohaterka „Cyganerii”
- Niespodziewanie ujrzeć, przywitać
- Pnie drzew
- Cudotwórcy indyjskiego (j=1)
- Zbiorowisko pszczoł
- Tamten
- Przedstawiciel narodowości, zamieszkujecej Polskę
- Gdyby ukożane zabawki naszych córeczek ożyły, to by były... (2 słowa) Pierwszą literę odrzuć, ostatnią zmień na „o”.

5. PIĘĆ KRAŻKÓW

(nadesłał: mgr. Zieba, W. Murzynowski, T. Adamiecki, „Emka”)

Kierownik pewnego więzienia otrzymał instrukcję, aby z okazji amnestii, wypuścić na wolność najinteligentniejszego więźnia. Do końcowej eliminacji wybrał trzech i dał im do rozwiązania takie zagadnienie:

Na stole leżało 5 krawków — z tego 3 białe i 2 czarne. Każdemu z więźniów kierownik przydzielił jeden krawek na plecy, pozostałe 2 ukrył. Jeden z więźniów nie wiedział jaki ma krawek, widział natomiast krawki współwięźniów.

— Kto z was pierwszy udowodni mi jaki ma krawek na plecach, wypuszczę go na wolność — powiedział kierownik więzienia.

Po chwili jeden z więźniów wystąpił i dowiódł, że ma na plecach biały krawek. Jak to zrobił?

Dla orientacji Czytelników podajemy, że kierownik dla dania jednakowych szans więźniom przydzielił im wszystkich białe krawki.

Za rozwiązania powyższych zadań, na deslane w terminie do dnia 8 lutego 1947 r. Redakcja przeznaczona do wylosowania 3 nagrody książkowe.

Rozwiązanie zadań z nr 1

1. Rebus. Przez pracę całego Narodu Polskiego dądzimy do dobrobytu.

2. Zadanie ortograficzne. Słowa pomocnicze: kapica, mimosa, ospa, Kijów, tara, peseta, uście, Elisa, melinil, rezon, karaś, awiz, ido, epika, tu ją widuje.

Rozwiązanie ostateczne: Pani Roszkowskiej, która pisuje śliczne wierszyki — ślicznie dziękuję.

Dla wyjaśnienia wielu Czytelnikom, którzy w rozwiązaniu tego zadania podali nazwisko p. Paszkowskiej, zamiast p. Roszkowskiej, podajemy, że autor zadania miał na myśli i dziękował jednej z szaradzystek — p. Roszkowskiej, która rozwiązania zadań autora nadsyła wierszem.

3. Diabelskie zadanie. P. Tadeusz Kubiczek pisze:

Gdyby na mnie trafił frant,
Rzekłbym krótko: „Toż to kant,
Mam czternaście groszy w miechu,
A więc układ wart jest śmiechu.
Najpierw pięknie ja poproszę —
Pożycz mi pan choć trzy grosze.
Mając takie kapitały,
Będę chodził i dzień cały”.

Zebrak miał czternaście groszy przed rozpoczęciem biegów. Gdyby miał 16 groszy, to majątek jego nie zmieniłby się po dowolnej ilości przechodzeń mostu. Rzeczywisty zysk mógłby być osiągnięty dopiero przy posiadaniu 16 + n groszy, gdzie n może być dowolną liczbą naturalną. Np. przy n = 1

po 1 przejściu przez most pozostanie (17—8). 2 = 18 groszy

po 2 przejściu przez most pozostanie (18—8). 2 = 20 groszy itd.

przy czym szereg kolejnych wzrostów kapitału wyraża się postępującym geometrycznym przy a₁ = 2n, q = 2.

Nie uwzględniliśmy rozwiązań, podających kapitał na 7 groszy, ponieważ zadanie mówi o podwojeniu kapitału dopiero po zapłacie.

4. Dancing. Pary małżeńskie: Antoni — Róża, Bolesław — Rozalia, Czesław — Regina, Donat — Romana, Edward — Renata.

5. Latawiec. XY jest przekątną prostokąta, którego drugą przekątną jest promień koła AO. Z tego wynika, że średnica obrotu równa się dwóm promieniom, czyli 1 m. Wielkość odcinka AY nie odgrywa w tym zadaniu żadnej roli i może być dowolna w granicach od 0 do R. Kazio ten odcinek podał dla odwrócenia uwagi od prostego rozwiązania i dla pozornego jego skomplikowania. Dlatego odrzuciliśmy rozwiązania, które dochodzą do właściwej długości średnicy za pomocą twierdzenia Pitagorasa i karkołomnych obliczeń. Trzeba było tylko dobrze popatrzeć!

Rozwiązania nadesłali

DOBRE ROZWIĄZANIA Z NR 1 NADESLALI:

Będzin: L. Balcerowski, Bielsko: J. Szewczyk, A. Wojtylak, Brzeziny: W. Łuczkiewiczowa, Bytom: M. Hańczakowska, K. Czerłuchakiewicz, S. Czaplinski, T. Sobolewski, Częstochowa: Z. Przesiański, Dąbrowa: J. Bielak, Gliwice: S. Pojda, M. Głuszczyński, I. Bretszneiderowa, O. Madurowicz, J. Jakacki, Jarosław: B. Nowosad, Katowice: E. John, Z. Świecicki, K. Mrozek, M. Kopeć, Z. Czaplinski, A. Peretiatkiewicz, J. Olszok, R. Przeczek, J. Tchórzewska, A. Rafińska, Kłodzka: J. Lipczyński, M. Jankowski, Kraków: J. Nawroczyński, W. Noga, T. Lankor, Z. Kapa, Opole: E. Hlebowicz, W. Łuczynski, W. Kielar, Panewnik: W. Świerzyk, Piotrowice: W. Łasko, Poznań: J. Gryszczyński, Z. Skowroński, M. Grzegorzewska, W. Kolaćkowska, Racibórz: A. Orska-Rawicz, Radomsko: A. Szeffer, C. Maliniewicz, Rajcza: Z. Szlag, Rzeszów: M. Urban, A. Mazur, Siemianowice: O. Staś, Skalka: L. Burczyk, Sosnowiec: M. Michałowski, K. Materny, A. Ptak, Świętochłowice: M. Otrząsek, Trawniki: M. Raził, Wadowice: J. Jankowska, Wrocław: R. Leszczyński, W. Klusiewicz, H. Ogrodnik, K. Kawiński, Zabrze: R. Poznański, F. Skarbek, H. Socha, Zawiercie: G. Rożyńska, Żywiec: J. Fąbrowicz, J. Jarczewski.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

- Michalina Raził, Trawniki — „Gwiazda Wł. Sikorskiego” S. S. Wojtkiewicz,
- Ewa Hlebowicz, Opole — „Medalion” Nałkowskiej,
- M. Otrząsek, Świętochłowice — „Kobiety z Ravensbrueck” Dobaczewskiej.

Nagrody wysyłamy pocztą.

Odpowiedzi redakcji

8. Cichowski, O. Schmelzer, R. Petela: Nie zamieścimy. Z. Hryniewiecki: Na list z 8 bm. zgodzić się nie możemy. „E. Janowa”: chyba za łatwe, prześlemy gdzie indziej. J. Kędziola: Prosimy próbować szczęścia dalej. Pierwsza próba słaba. J. Garus, B. Chodacka, „Emka”: oczekujemy dalszych prac. A. Orska-Rawicz, W. Noga: Prosimy przysłać. J. Gryszczyński: Witamy w rodzinie szaradzystów, mamy nadzieję, że na stałe. W. Magiera: Pomysł bardzo dobry, wykonanie słabe. Prosimy przerebować. T. Grodecki: Dziękujemy. Prosimy o jeszcze.

Czytelnicy piszą...

Do zadania pozakonkursowego zamieszczonego w numerze 2 „Świat i Życie:

1. Rozważając umowę zawartą między Protogoraszem a jego uczniem, należy wyjść z następującego założenia:

Uczeń Protogorasa pobierał naukę, po której ukończeniu, mógł w razie zdolności stać się obrońcą publicznym. Protogoras godząc się na to, że uczeń jego zapłaci mu resztę należności po wygraniu pierwszego procesu, miał na myśli proces, w którym uczeń będzie występował jako obrońca, mając możność uzyskania zarobku. Ten zarobek miał m. in. służyć na pokrycie należności Protogorasa. Taka sama myśl kierowała zapewne i uczniem, jeżeli zaniechanie występowania jako obrońca nastąpiło po ukończeniu nauki. Należy więc przyjąć zgodność myśli i zamiarów.

Dawna i dzisiejsza zasada, poparta przepisami prawa cywilnego, przewidywała i przewiduje, że przede wszystkim wspólny zamiar stron i cel umowy jest miarodajny, a nie dosłowne znaczenie wyrazów.

Ponieważ uczeń Protogorasa w sporze z nim nie występował jako obrońca, lecz występował z zarzutem, że jeszcze procesu nie prowadził, a tym samym i nie wygrał, a poza tym był w tym wypadku nie obrońcą lecz stroną, dlatego nie zaistniała dla Protogorasa podstawa prawna żądania reszty wynagrodzenia za naukę, chociaż uczeń swój własny proces w podanym wypadku wygrać był powinien.

Jeżeli natomiast uczeń w chwili zawierania umowy wiedział, że nie będzie występował jako obrońca, to działał podstępnie w celu pokrzywdzenia Protogorasa. Uczeń przy rozpoczęciu nauki umówił się z sumą pełnego wynagrodzenia, pokrywając z góry połowę. Pozostał on więc dłużnikiem drugiej połowy. Umowa odraczająca termin zapłaty do czasu wygrania pierwszego procesu nie zwolniła więc ucznia od obowiązku płacenia.

Gdy Protogoras się przekonał, że jego uczeń nie myśli występować w procesach, to miał prawo żądać zapłaty, bo nie potrzebował tracić swojej należności wskutek podstępu lub odmienniej decyzji ucznia w odniesieniu do wykonywania czynności obrońcy, powziętej po ukończeniu nauki a zatem po zawarciu umowy.

Gdyby jednak uczeń tylko na razie zaniechał wykonywania czynności obrończej, zaś Protogoras wytoczyłby proces tylko w tym celu, aby spowodować wygranie go przez ucznia, wówczas byłoby to podstęp, który nie mógłby stworzyć podstaw korzystnych dla Protogorasa.

Jan Nowakowski, Katowice

2. Sąd powinien stwierdzić, czy istnieją obowiazek płacenia przez ucznia, czy nie.

Sąd nie przyjmie uzasadnienia Protogorasa, gdyż zapłata nie jest jeszcze wymagalna, a przez ten proces nią nie będzie. Może on jednak pouczyć (!) Protogorasa, ażeby zaskarżył swego ucznia o niedotrzymanie umowy.

Ala i wtedy Protogoras nie otrzyma pieniędzy i będzie musiał zrezygnować z picia wina, co może skłonić jego umysł do bystrzejszego myślenia

Garus Józef, Tarn. Góry.

3. Czy wypadek wytoczenia procesu przez filozofa uczniowi może wchodzić w zakres ich umowy? Przecież nie było powiedziane, czy ten pierwszy proces może zastąpić owa skarga sądowa Protogorasa. W wypadku, gdy wygra uczeń, to filozof nie może dopominać się o swą zapłatę, bo wyrok sądowy jest bardziej prawomocny, aniżeli umowa.

W wypadku procesu uczeń miał występować jako obrońca strony oskarżonej, a nie jako oskarżony. Było przecież umówione i przewidziane, że gdy uczeń wygra proces, otrzyma pieniądze i zwróci je swemu nauczycielowi. Skądby miał więc uczeń wziąć ową sumę pieniężną, jeżeli od nikogo jej nie dostał, choć proces wygrał. Choć tego zastrzeżenia nie ma w umowie, sąd mógłby wziąć pod uwagę ten motyw i uwolnić ucznia od obowiązku zapłaty przyrzeczonej sumy w wypadku wygranej przez niego procesu.

Kroński Tadeusz, Gliwice

4. Dziwię się, że człowiek tak cwany, jak Protogoras mógł zawrzeć podobnie nieopatrzną umowę, nie licząc się z możliwością, że uczeń nie będzie mógł lub nie będzie chciał wykonywać zawodu obrońcy i wtedy według umowy nie uiszc połowy należnej Protogorasowi zapłaty.

L. Morawska, Katowice

5. Wyrok sądowy obowiązuje obie strony, bez względu na umowę, wobec czego: 1. Sąd oddalił skargę Protogorasa, 2. Protogoras nie będzie mógł wbrew wyrokowi sądowemu egzekwować pieniędzy od ucznia. W tym wypadku więc — jak to się czasem zdarza — uczeń poblił mistrza.

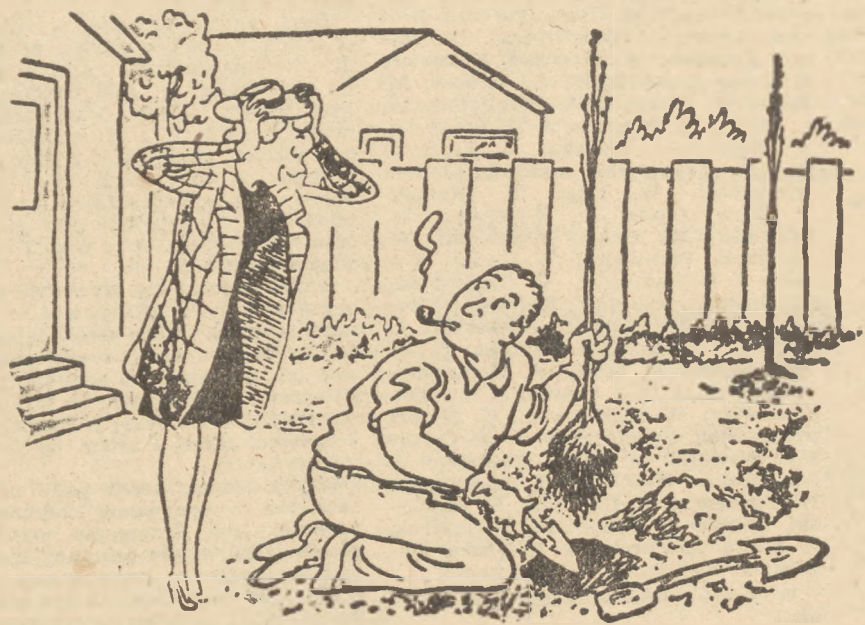
Mészáros Józef, Wałbrzych

25	10	53	69	84	87	33	83	90	
75	35	40	34	51	21	73	36	50	26
39	85	3	28						
46	59	66	1						
64	4	92	81						
56	62	55	23	65					
6	68	20	58	82	5				
15	63	70							
67	8	16	32	42	41				
54	9	44	38	88					
17	57	79	80						
30	71	86	7	37	48	24			
31	11	12	2	78					
14	45	19	29						
77	18	22							
76	13								
91	27	60							
47	89	74	43	49	52	61	72		

1 D	2 N	3 C	4 E	5 G	6 G		7 M	8 J		9 K
10 A	11 N	12 N	13 S	14 P	15 H	16 J		17 L	18 R	19 P
20 G		21 B	22 R	23 F	24 M		25 A	26 B	27 T	28 C
29 P	30 M	31 N	32 J		33 A	34 B	35 B	36 B	37 M	38 K
39 C	40 B	41 J		42 J	43 U	44 K	45 P	46 D	47 U	?
48 M	49 U	50 B	51 B	52 U		53 A	54 K		55 F	56 F
57 L	58 G		59 D	60 T	61 U	62 F	63 H	64 E	65 F	
66 D	67 J	68 G	69 A	70 H	?	71 M	72 U	73 B		74 U
75 B	76 S	77 R	78 N	79 L	80 L		81 E	82 G	83 A	84 A
85 C	86 M	87 A	88 K		89 U	90 A	91 T	92 E		•

Świat się śmieje

ENTUZJASTKA



— No, to ja teraz idę szybko do miasta, aby kupić hamak...

(„Esquire“)

GDY GANGSTER ZAJMUJE SIĘ MALARSTWEM...



(„Le Rire“)

CZUŁY



— On ma kłopoty ze swoim motorem...

(„Le Crochet“)

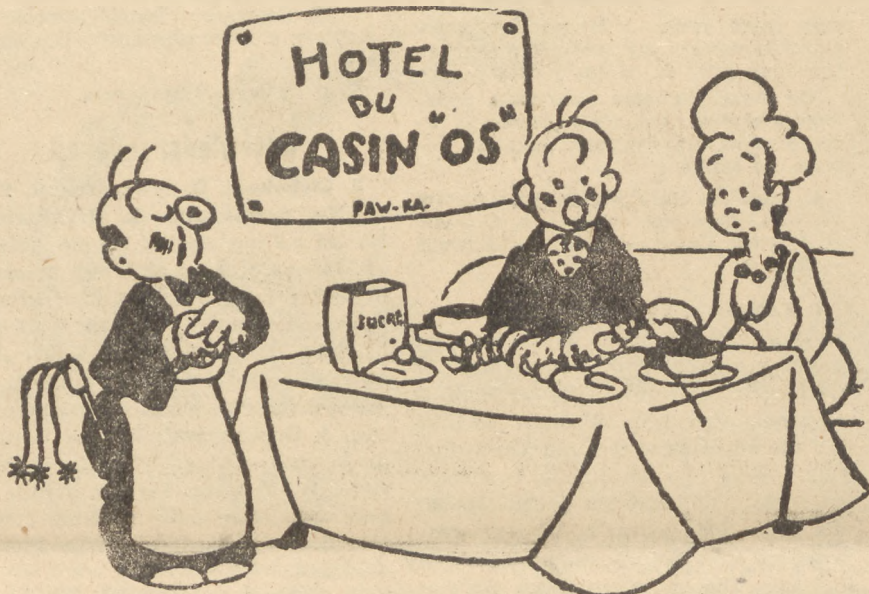
PO ZDJĘCIU ROENTGENOWSKIM



— Przepraszam, czy nie mógł bym od pani otrzymać autografu?

(„New Yorker“)

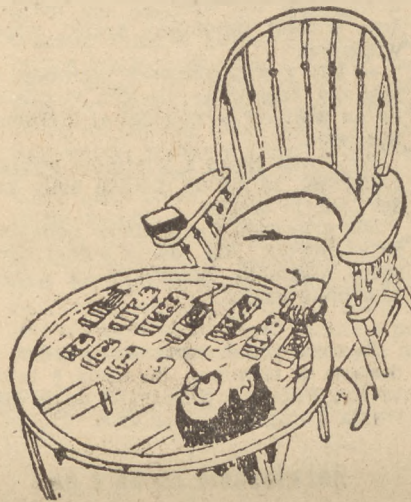
NA WSZYSTKO JEST SPOSÓB



— Ponieważ nam ciągle ginęły szczypczyki do cukru, więc wytresowaliśmy odpowiednio jednego bardzo inteligentnego homara.

(„L' Os Libre“)

PASJANS, KTÓRY ŻADNĄ MIARĄ NIE CHCE WYJŚĆ...



(„Opera Mundi“)

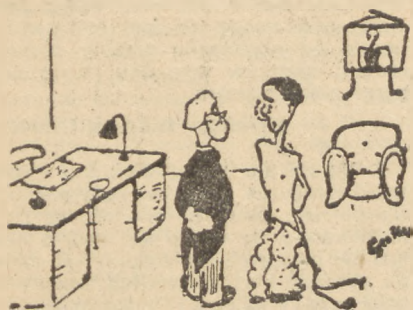
JASNE



— Tylu było ludzi na wystawie, że człowieka cały czas przyginali do ściany...

(„La France“)

U LEKARZA



— Nie mogę panu dziś nic stanowczego odpowiedzieć, ale zdaje mi się, że to jest wpływ nadużywania alkoholu...

— Och, to nic nie szkodzi, panie doktorze, przyjdę, jak pan doktor wytrzeźwieje...

(„Combat“)

W EPOCE KAMIENNEJ



— Daj mu jeszcze jedną porcję środka nasennego...

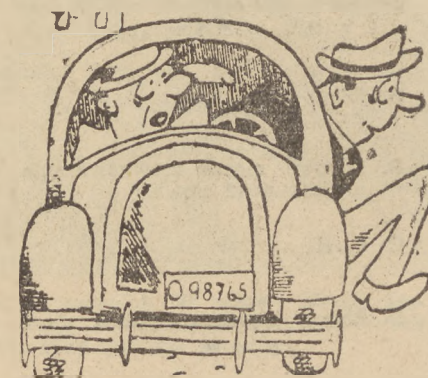
(„Le Crochet“)

POLOWANIE Z PRZYNĘTĄ



(„Paysage“)

WADA MAŁYCH AUT



— Psiakość ilekroć człowiek chce wyjść z kieszeni zapalniczki, musi zaraz wysiadać...

(„Sondagsnisse“)

NOWOCZESNE ZAWODY



— Cóż to, wzięłeś się do handlu?
— Tak. Sprzedaję na niebezpiecznych zakrętach tonyne i wata.

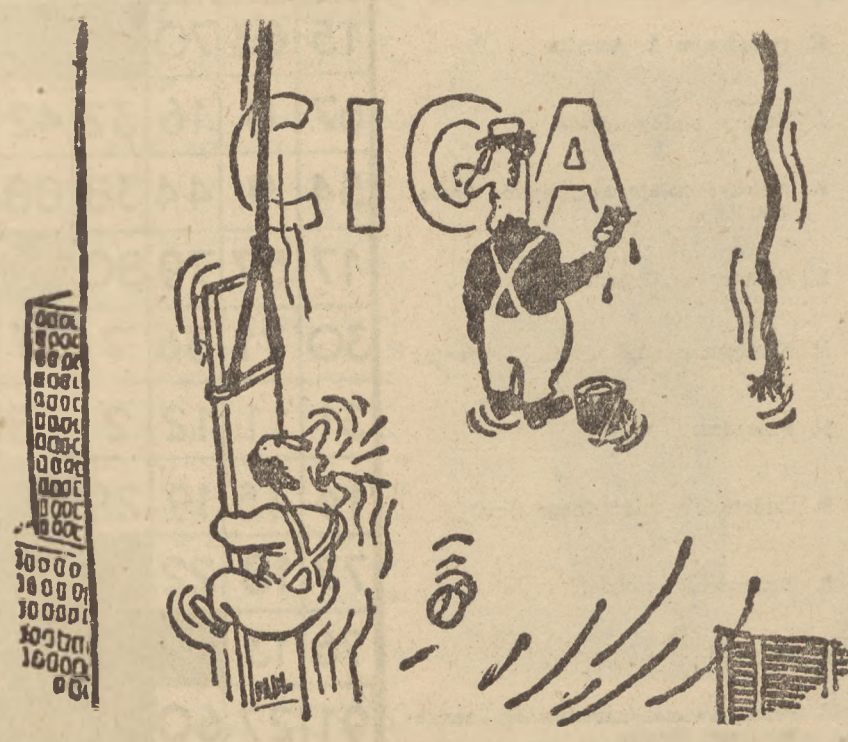
WYMAGAJĄCY



— A teraz tatusiu pluj tak, żeby się tworzyły kwadraty.

(„L' Os Libre“)

SURREALIZM



— A ty nawet się nie ruszysz, żeby mi przyjść z pomocą...

(„Look“)